ROK IV. MARZEC TOM III (XXXIII).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

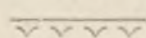
Agencya w Warszawie: Ulica Mokotowska Nr. 47 — w Łodzi: przy księgarni Władysława Kaczmarka ulica Piotrkowska Nr. 107.

1904

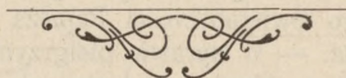
Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 марта 1904 года.

Treść tomu III, marcowego 1904 r.,

ogólnego zbioru XXXIII.



ILLUSTRACYE:



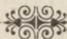


Alleluja!

Bóg zmartwychwstał:
Chwała! chwała!

Nuci niebo,
Ziemia cała...
„Alleluja!“
Brzmi radośnie
W sercach ludzkich
Wiara rośnie!
I w świątyni
Jasnej-Góry
„Alleluja!“
Nucą chóry.
Hymny nucą
Młodzi, starzy
U Maryi
Stóp ołtarzy...
Hej, radośnie
Dzwońcie, dzwony:
„Bóg zmartwychwstał
Umęczony!“

St. G.



Niepokalana Dziewica-Matka obcuje z Synem po Jego zmartwychpowstaniu.

Uczniowie złożyli do grobu ciało Mistrza, a otwór zaparli kamieniem. Marya pobłogosławiła ten kamień, rzekła przytem:

— Szczęśliwy kamieniu, osłaniający w tej chwili Tego, którego łono moje piastowało, bądź błogosławiony! Teraz wzbudzasz we mnie zazdrość, gdyż tobie przypadło strzedz mego najdroższego Skarbu. Ojcze Przedwieczny, poruczam Ci ciało Syna mojego, który i Twoim jest Synem, a także moją duszę, którą z Nim w tym grobie zostawiam.

To było ostatnie pożegnanie Maryi z grobem Jezusowym.

Noc nadchodziła, trza było wracać do miasta. Lecz Marya mieszkania własnego nie miała. Józef z Arymatei, wiedząc o tem, ofiarował Jej dom swój w Jerozolimie. Marya podziękowała mu za to, oświadczając:

— Syn mój polecił mnie opiece Jana, tedy Jan wyszuka mi mieszkanie.

Jan uważał za najwłaściwsze, aby Matka Zbawiciela umieściła się w domu Marty, matki Marka, gdyż tam Jezus odbył ostatnią wieczerzę. Zgodziła się na to Przenajświętsza Rodzicielka.

Wracała do Jeruzalemu smutna, zbolała gromadka — Marya Jezusowa, Marya Magdalena, Jan i kilka jeszcze pobożnych niewiast, a droga szła przez miejsce ukrzyżowania. Gdy na tem miejscu się znaleźli, Przenajświętsza uklękła pod krzyżem, zbroczonym krwią Jej Syna, oddała mu cześć głęboką i rzekła do gromadki swojej:

— Na tym drzewie umęczony był Syn mój i oto świeże jeszcze ślady krwi Jego. Oddajmy cześć narzędziu męki Jego, temu świadectwu niezmiernej miłości Jego dla ludzi. O, Krzyżu Ś-ty! kłaniam

się tobie i i cześć ci oddaję, boś już przestał być hańbiącem rusztowaniem, a stałeś się tronem największej miłości Boga ku ludziom, tronem miłosierdzia, krwią Baranka Bożego uświęconym.

Gdy tak mówiła, wszyscy poklękli i hołd serdeczny narzędziu męki Pańskiej składali.

Opuściwszy miejsce bolesne, zdążali do miasta. Przed bramą miejską, niewiasty zarzuciły na głowę Maryi zasłonę, będącą wówczas oznaką żałoby i wdowieństwa. Nieco dalej, tam mianowicie, gdzie droga zwracała się do Betanii, miasteczka, w którem rodzina Łazarza miała dom, często przez Zbawiciela i Jego Matkę nawiedzany, Magdalena upadła do nóg Maryi i błagała Ją kornie, aby u nich zamieszkać raczyła. Marya uściskała tkliwie proszącą, podziękowała jej za ten dowód zaufania, lecz gościny ofiarowanej nie przyjęła. Rzekła:

— Jan jest opiekunem moim, a on umyślił, iżbym w domu Maryi Markowej zamieszkała, kędy jest wieczernik, w którym Syn i Pan mój chwile ostatnie wolności spędził. Mniemam również, że i ty tam zamieszkasz.

Uradowana łaskawem wezwaniem Magdalena, zawołała:

— Ty wiesz, o, Pani moja, że wszędy pójdę za Tobą i nigdy Cię nie odstąpię.

Gdy weszli do miasta, liczne grono pobożnych niewiast i świątobliwych dziewic, które gorzko ubolewały nad czynem zbrodniczym, jakiego się dopuścił na Zbawicielu uwiedziony przez faryzeuszów lud, otoczyło Maryę z oznakami czci i spółczucia dla Jej smutku macierzyńskiego i towarzyszyło Jej do domu, w którym zamieszkać miała. Marya weszła tam z Janem, Magdaleną i dwiema Swojemi ciotecznemi siostrami.

Po chwili ta święta gromadka znajdowała się w wieczerniku, t. j. w izbie, z której Jezus, po ostatniej wieczerzy, wyszedł do Ogrójca, gdzie rozpoczęła się Jego męka. Wszystko tu przypominało Go Matce. Usiadła przy stole, przy którym ustanowił Przenajświętszy Sakrament, około Niej Jan, Magdalena i siostry cioteczne. Czas niejaki milczeli łzy roniąc, następnie Marya mówić poczęła:

— Gdzieżeś Synu najdroższy, daremnie Cię szukają moje oczy? Janie, gdzie Mistrz twój, który Ciebie tak miłował? Magdaleno, gdzie Ten, który cię z Bogiem pojednał? Siostry najmilsze, gdzie Ozdoba i Zaszczyt rodu naszego, któremuśmy z taką wiernością służyły? Odstąpił nas Ten, który był weselem dusz naszych, światłem rozumu naszego, pociechą i słodyczą życia naszego. A zwiększa boleść moją to, że rozstając się z nami, cierpiał najsroższe katusze. Wydany w ręce wrogów przez własnego ucznia; skrępowany powrozami, jak największy winowajca; wodzony z urąganiem od trybunału do trybunału; zsieczony



Na Golgocie.

okrutnem biczowaniem: na własnych barkach niósł drzewo krzyżowe, na którem, opuszczony przez wszystkich niemal swoich, przeszyty gwoździami na rękach i nogach, długo konał w moich oczach, w okrutnych udręczeniach, lżony przez ludzi, za których mękę i śmierć ponosił. Domagał się chociaż kropli napoju, a ja, słysząc to, żadnej Mu ulgi przynieść nie mogłam. Wreszcie, gdy pozbawiony nawet wsparcia wewnętrznego od Ojca Przedwiecznego, umarł zawieszony pomiędzy dwoma złoczyńcami, jeszcze pastwiono się nad ciałem Jego, przebito Mu serce włócznią, na co także patrzyłam... O, Synu, Synu najdroższy, ileś Ty wycierpiał! O, jakżeś Ty ludzi umiłował!

Tak rzewnie przemawiała Marya, a Magdalena, przypadłszy do Jej nóg, łzami je oblewała. Inne niewiasty również płakały, Jan tylko, hamując boleść głęboką, która i w jego piersi nurtowała, starał się uspokoić Maryę. Uczyniła zadość prośbie syna przybranego, opanowała żałość, natomiast rozpytywała Jana o najdrobniejsze szczegóły ostatniej wieczerzy Jezusa. Jan zdał Jej ściśle dokładną z tego sprawę, opowiedział także, jak Jezus ustanowił Przenajświętszy Sakrament, powtórzył Jego przemowę do uczniów, nadmienił o Jego modlitwie w Ogrójcu. Gdy skończył, przyszła do wieczernika z izb górnych Marya Markowa i nieśmiele zaofiarowała gościom posiłek, od rana bowiem nic w ustach nie mieli. Jakoż Jan, Magdalena i siostry cioteczne Maryi udali się z matką Marka na wieczerzę, Marya zaś Jezusowa zamknęła się w izdebce, dla Niej przeznaczonej, aby tam rozpamiętywać na kolanach mękę i śmierć Syna.

Przez całą noc oka nie zamknęła Marya. Dla każdej matki, noc pierwsza po zgonie syna do najsmutniejszych w życiu się zalicza, a jeżeli tak jest, to zważmy, jak musiała być smutną, bolesną, dla Maryi, najprzywiązańszej z matek, która oczyma własnemi patrzyła na okrutną mękę i największą poniewierkę Jezusa. Stwierdzają to jednomyślnie wszyscy pisarze kościelni, a zarazem wysnuwają stąd dla wiernych doniosłą naukę. W Przenajświętszej Pannie — powiada jeden z nich — jako z istot stworzonych istocie najdoskonalszej, a więc w arcywzorze niewiast, wszystkie cnoty i przymioty niewieście musiały się odznaczać również najwyższą doskonałością. Żywość wyobraźni, tkliwość uczucia, wrażliwość na wypadki — wszystko to w Maryi było nadzwyczajnie rozwinięte. Snadnie stąd wymiarkować, jaką musiała być dla Niej ta pierwsza noc po zgonie Syna. Samotna, wśród ciszy głuchej, uprzytomniała sobie wszystkie wypadki dnia ubiegłego, a to morzem goryczy zalewało jej macierzyńskie serce. Jak Jezus, dopuszczając, żeby w Ogrójcu stanął przed Nim obraz wszystkich razem tortur, jakie Mu rychle zadać miano, wtedy więcej ucierpiał, niż potem, gdy pojedynczo

zadawano Mu udręczenia: podobnie Marya, tej pierwszej nocy po Jego zgonie, gdy cała męka Syna w jednym obrazie przed oczyma Jej stanęła, cięższych doznała boleści, niż gdy patrzyła na kolejno zadawane Jezusowi tortury. Boleść Maryi tej nocy była sumą, zbiorem wszystkich boleści, jakich podczas dnia doznała. Jeżeli podczas dnia doznane kolejno cierpienia nie zabiły Jej, było to dziełem cudownej mocy Bożej, która Ją przy życiu zachowała. Również za cud poczytać należy wielki, że boleść zbiorowa, która Ją ogarnęła tej nocy z piątku na sobotę, życia Jej nie przecięła. Przez dzień piątkowy siedm mieczów, jeden po drugim, przeszyło serce Matki Najboleściwszej: w nocy, w to serce, ze wszystkich na świecie najtkliwsze, wszystkie siedm mieczów ugodziło jednocześnie.

Ta boleść wielka nie opuszczała Maryi także przez dzień następny, przez sobotę. Czarę smutku dopełniła jedna jeszcze okoliczność. Apostołowie, których pozostało jedenastu (boć Judasz nieszczęsny nie mógł już się do nich zaliczać), przeszło siedemdziesięciu uczniów Jezusa, wreszcie wielu mieszkańców Jerozolimy, wyznających naukę Jezusa tajemnie, wszyscy, widząc co się stało z ich Mistrzem, w wierze się zachwiali. Przez cały piątek, do Maryi, oprócz Jana, Magdaleny, Marty i dwóch sióstr ciotecznych — Maryi Salome i Maryi Jakubowej, nikt więcej się nie zbliżył. Dopiero pod wieczór, gdy musiano pogrześć Ciało Przenajświętsze, zjawił się Józef z Arymatei, a potem Apostołowie. Lecz w sobotę, gdy rozeszła się wiadomość, że Piłat pozwolił wrogom Jezusa postawić straż przy Jego grobie, Apostołowie i uczniowie bardziej jeszcze upadli na duchu. Zachwianie w wierze spostrzegła Marya w tych nawet, którzy z Nią pod krzyżem Jezusa wytrwali, którzy Jej następnie nie opuścili. Jedna tylko Marya nie zachwiała się w wierze. Więc patrząc na ów upadek wiary najbliższych Jezusowi osób, Marya musiała doznawać wielkiego frasunku. Daleką jednak była od rozpaczy — cierpiała mężnie, modliła się gorąco za tych wszystkich, których ogarnęła wątpliwość, a skutek Jej świętych modlitw niebawem się okazał.

Około południa, w sobotę, zaczęli się schodzić do Maryi Apostołowie i uczniowie Jezusa. Czynili to skrycie, pojedynczo, z obawy faryzeuszów i rozżartego tłumu żydowskiego. Przy Maryi, pod wpływem Jej spojrzenia, Jej słów, odzyskiwali wiarę, podnosiły się ich serca. Pierwszy przybył Piotr. Marya znajdowała się wtedy w wieczerniku z Janem i Magdaleną. Drzwi wchodowe były zamknięte, bo różne, niepokojące krążyły po mieście wieści, więc mieszkający w domu Maryi Markowej, jako najbliżsi Jezusa i znani, jako najżarliwsi Jego wyznawcy, obawiali się napaści ze strony wciąż podjudzanego przez faryzeuszów tłumu. Naraz zakołatano silnie do drzwi. Mieszkańcy domu za-

drżeli. Jan wyszedł do sieni i rychle wrócił, oznajmiając Piotra. Marya kazała go wprowadzić do wieczernika. Wszedł Piotr, spojrzawszy na Maryę, rzewnym wybuchnął płaczem, a żal jego pobudził także do łez wszystkich obecnych. Z kolei przybywali pojedyńczo inni Apostołowie, a z przybyciem każdego lament się wzmagał. Ponieważ Piotr największą okazywał żałość, Marya rzekła do niego:

— Uspokój się, Piotrze. Jako ten, którego Syn mój wodzem innych uczynił, utwierdzaj braci twoich, podnoś ich ducha. Najdroższy Mistrz nasz, Pasterz Najmiłościwszy, rozłączył się z nami, osierocił nas. Lecz ufam mocno, że rychle znów się z Nim cieszyć będziemy. Ufajcie i wy, bo On zwyciężył świat.

Piotr rzekł:

— Pani nasza, w sieroctwie naszem jedyna Pocieszycielko i Mistrzyni... jakże mogę zaprzestać płaczu ja, który zaparłem się nikczemnie Pana mego? Nie powinienem mieć śmiałości stanąć przed Tobą. Mistrz mnie tak miłował i mnie się zdało, że Go równie miłuję, a oto odstąpiłem Go haniebnie! wyparłem się Go po trzykroć!

I znów rzewnemi zalał się łzami, a Marya zbliżyła się do niego, mówiąc dobrotliwie:

— Piotrze, zacny Piotrze, ukój żałość swoją, Jać wiem, że miłujesz Mistrza i on wie o tem. A że właśnie z miłości żałujesz upadku swego, przeto On ci przebacza! Zawierz słowom moim, uspokuj się.

Piotr rzucił się do nóg Maryi, sławiąc Ją i wdzięczność swoją wyrażając, insi Apostołowie również zaczęli się oskarżać o małoduszność, o słabą wiarę. Marya krzepiła ich, pocieszała, dodawała im odwagi. Mówiła:

— Drodzy moi, spodobało się Bogu dopuścić na Syna mego, Mistrza naszego, taką przemoc nieprzyjaciół, że choćbyśmy wszyscy razem osobę Jego otoczyli, to i tak nie moglibyśmy Go obronić od tego, co Go spotkało. Pamiętajcie na te słowa Jego, przy ostatniej wieczerzy wyrzeczone, które powtórzył mi Jan: „Maluczko, a już mnie nie ujrzycie; ale znowu maluczko, a ujrzycie mnie.“ Więc powtarzam wam— ufajcie, bo On zwyciężył świat!

Tak oto Marya, sama dręczona ogromem boleści, pociesza innych i krzepi ich serca. Zastępuje w tej chwili Zbawiciela i zastępować Go będzie po Jego wniebowstąpieniu, tym sposobem stanie się dla nowopowstającego Kościoła Mistrzynią, Doradczynią, Opiekunką, a w najcięższych przejściach Ucieczką.

Byliby Apostołowie dłużej pozostawali przy Maryi, lecz Marek, jeden z uczniów Jezusa, ostrzegł ich, że kilku żołnierzy krąży dokoła domu, snać w nieprzyjaznych zamiarach. Przeto porozchodzili się, również pojedyńczo jak przyszli, a z Maryą pozostali tylko Jan, Magdalena i nie-

wiasty, które z Nią były pod krzyżem; Marya Markowa, z rodziną swoją, udała się do izb na piętrze.

Ponieważ pogrzeb Jezusa odbył się z wielkim pośpiechem, gdyż szabat nadchodził, a w szabat Żydom niczem nie wolno było się zajmować, wię nie zdążono należycie zwłok Jego zabalsamować. Odłożono tę czynność na potem. Jakoż w sobotę po zachodzie słońca, gdy szabat się skończył, Magdalena i Marya Salome udały się do miasta po wonne olejki, potrzebne do zupełnego zabalsamowania ciała Jezusa. Marya Przenajświętsza zamknęła się w Swojej izdebce, tam długo się modliła, wreszcie udała się na spoczynek. Po dwóch nocach, spędzonych bez snu, po tylu udręczeniach, koniecznie spoczynkiem pokrzepić się musiała.

Usnęła Marya, ale chociaż Jej ciało spoczywało, dusza Jej wciąż czuwała, jak na jawie, wciąż widziała obraz męki i śmierci Jezusa. Więc sen nie był dla Maryi folgą co do boleści dusznych. Nadeszła północ. Marya zbudziła się, wstała, pomodliła, a gdy świtać zaczęło, otworzyła Pismo Boże i w czytaniu się zatopiła.

Czytała zaś proroctwa Daniela. Napotkawszy ustęp: „Będzie zabit Chrystus, a nie będzie ludem Jego lud, który Go się zaprze," — żywo stanęły przed Jej oczyma wypadki z dni poprzednich. Tak, proroctwo spełniło się w zupełności. Chrystus został zamordowany.

Z kolei otworzyła Księgę Psalmów, tam znów natrafiła na wiersz, w którym Mesyasz, przez usta Proroka, Sam zapowiada śmierć i zmartwychwstanie Swoje: „Jam usnął i twardo spał, a wstałem, bo Pan obronił mnie." Przypomniała sobie wtedy Marya, iż Jezus kilkakrotnie oznajmiał, jako dnia trzeciego wstanie z martwych, a to przypomnienie rozradowało Ją, bo oto nadchodził właśnie dzień trzeci. Wstała tedy, zbliżyła się do okna i bacznie, z natężeniem, patrzyła się w stronę, w której znajdował się grób Jezusa. Naraz zauważyła, iż dom jakoś faluje, iż ziemia wstrząsnęła się w posadach swoich... Marya więcej jeszcze wzrok wytężyła i oto ujrzała, iż w stronie grobu Jezusa ukazała się światłość, która spuszczała się z obłoków, a wśród światłości onej, ujrzała Anioła Pańskiego. Radość niewysłowiona ogarnęła Jej serce, pociecha nadzwyczajna napełniła słodyczą Jej duszę. Wpadła w zachwycenie, uklękła i przez chwilę w takim uświęconym pozostawała stanie.

Tymczasem słońce wypłynęło na przestworza niebieskie, pierwsze jego promienie ozłociły czoło Maryi, a jednocześnie w izdebce zabrzmiał niewypowiedzianie słodki, pieściwy głos, który mówił:

— Matko! Matko!

Obraca się Marya i widzi — o, radości! — tuż przy niej stojącego Jezusa. Aliści w jakiejże się zjawił postaci... Nie takim Go widziała wiedzionego na Kalwaryę; nie takim oczy Jej oglądały Go na krzyżu:

widzi Go już uwielbionego, w szatach śnieżnej białości, lśniących, niby skrzydła Aniołów; widzi Go piękniejszym, niż był w chwili Przemienienia na górze Tabor; widzi Go takim, jakim Go dusze wybrane oglądać będą w całej Jego chwale, po prawicy Ojca zasiadającego. I rozradowana Marya zawołała:

— Alleluja! Alleluja!



Alleluja! Alleluja!

Za Maryą całe niebo śpiewem wesela rozbrzmiało, Ona zaś, rzucając się do nóg Jezusa, rzekła:

— Pan mój i Bóg mój!

A Jezus, podnosząc Ją i przyciskając do serca, dodał:

— I syn Twój, Matko najmilsza.

W chwili tej Marya doznała najwyższej radości, największej pociechy, największego szczęścia; otrzymała niejako zadatek tych rozkoszy, jakie Ją w niebiesiech czekały. Ta jedna chwila zatarła w Jej sercu wszystkie boleści, jakie niedawno przeniosła. Powiedział niegdyś Jezus: „Niewiasta, dając światu dziecię, smutek ma, iż przyszła jej godzina; lecz gdy już da światu dzieciątko, nie pamięta uciśnienia, natomiast raduje się, że człowiek na świat się narodził.“ Marya nie cierpiała pamiętnej nocy w Betlehemie, a jednak radowała się, że taki Człowiek na świat się narodził. Wszelako radując się z przyjścia na świat Syna Bożego, wiedziała o tem dobrze, że On wtedy z przybytku chwały niebieskiej, w której od wieków zażywał szczęścia najwyższego, zstępował na ziemię, gdzie przybrawszy ciało ludzkie, miał wiele wycierpieć. Teraz, patrząc na jakby odrodzenie się Syna, wiedziała, że On, przeniósłszy męki najcięższe, powstał z grobu z ciałem już niecierpiętliwem, już żadnych cierpień doznać niemogącem; z ciałem uwielbionem, które odtąd bez przerwy i na wieki z duszą Jego szczęścia najwyższego i chwały najwyższej zażywać będzie. Wówczas też spełniło się proroctwo Jezusa, przed męką do uczniów wypowiedziane:

— „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam, będziecie płakali i lamentowali wy, a świat się będzie weselił. Ale smutek wasz w radość się obróci, a radości waszej nikt od was nie odejmie.“

Po tem najradośniejszem przywitaniu się Matki z Synem, na które patrzył z nieba Ojciec Przedwieczny i Duch Ś-ty, usiadł Jezus i obok Siebie Matkę posadził. Ona zaś, jak niedawno z boleścią bez granic przypatrywała się ranom ciała Jego, gdy je, z krzyża zdjęte, na Jej kolanach złożono, — tak teraz z zachwytem świętym przypatrywała się bliznom rąk, nóg i boku Jego, śladom cierni na czole i głowie. A Jezus rzekł:

— Matko, bądź pewna, że wszelkie cierpienie mnie odstąpiło. Wszelkie nędze ludzkie pokonałem, śmierć samą zwyciężyłem i żadne teraz cierpienie ziemskie, żadne niebezpieczeństwo niema do mnie przystępu.

Marya na to:

— Błogosławionym niech będzie, o, Synu, Twój Ojciec Niebieski, który mi takim Cię oddał. Błogosławionym niech będzie na wysokości niebios i sławiony a chwalony na wieki!

Następnie Jezus opowiedział Maryi, co się z Jego duszą działo przez czas, gdy ciało Jego spoczywało w grobie. Więc mówił, jak wstąpił do otchłani, żeby pocieszyć dusze wybrane, od wieków Go wyglądające; wspomniał, jakiej doznali radości na Jego widok Joachim i Anna, rodzice Maryi, oraz Józef, Jej przeczysty oblubieniec. Nadmie-

nił też Jezus, że dnia tego ukaże się Piotrowi i innym Apostołom. Wtedy Marya z korną wystąpiła prośbą:

— I Magdalenie, Synu mój, racz się ukazać. Ona najbardziej nad śmiercią Twoją bolała, a mnie nie odstępowała ani na chwilę. I teraz oto, przed świtem, udała się do grobu Twego, żeby zabalsamować ciało Twoje...

Przyrzekł Jezus Matce, że Magdalenie najpierw się ukaże i tak się stało. Potem ukazał się Piotrowi. Wnet też wieść o Jego powstaniu



Emaus.

z martwych rozeszła się pomiędzy Apostołami. Magdalena przybiegła do Maryi rozradowana, aby opowiedzieć, co ją przy grobie spotkało. Rychle nadszedł Piotr z Janem, nieco później zgromadzili się w domu Maryi Markowej inni Apostołowie. Marya Jezusowa promieniała szczęściem, z każdym rozmawiała łaskawie, lecz często usuwała się do Swej izdebki. Czyniła zaś to dlatego, gdyż czuła potrzebę modlitwy, oraz dlatego, że Jezus cały ten dzień był przy Niej, dla Niej tylko widzialny, przeto w samotności mogła snadniej cieszyć się Jego widokiem i rozmawiać z Nim.

Wśród radości, zauważyła Marya ze zdumieniem, iż chociaż po tem wszystkiem, co zaszło, Apostołowie powinni byli ostatecznie utwierdzić się w wierze w zmartwychwstanie Jezusa, to jednak, oprócz Piotra, któremu się już był ukazał Jezus, wszyscy inni zdradzali wątpliwość. Przeto Marya błagała Jezusa, iżby wątpliwości ich rozproszył, ukazując im się i przemawiając do nich. Uczynił Jezus zadość prośbom Matki. Niezwłocznie ukazał się Łukaszowi i Kleofasowi, na drodze z Jerozolimy do poblizkiego miasteczka Emaus, oni zaś zawrócili się z drogi, pośpieszyli do wieczernika i zgromadzonym tam Apostołom opowiedzieli o ukazaniu się Mistrza. Pod wieczór, gdy wszyscy Apostołowie, z wyjątkiem Tomasza, znajdowali się w wieczerniku, obok Maryi, Jezus stanął pośród nich i rzekł:

— Pokój wam!

Następnie, słowami pełnemi miłości karcił ich niedowiarstwo, zatwardziałość serca, strofował ich za to, iż tym, którzy Go zmartwychwstałego widzieli, nie wierzyli. Aby ich utwierdzić w wierze w zmartwychwstanie, ukazał im ręce i bok przebite, przytoczył z ksiąg Starego Zakonu proroctwa o tem wszystkiem, co Go spotało, wtedy też, Boską Swoją mocą, otworzył im umysł, aby rozumieli Pismo Ś-te.

Przez dni czterdzieści po zmartwychwstaniu Chrystus Pan przebywał na ziemi, zanim wstąpił do niebios, a przez ten czas ukazywał się uczniom na różnych miejscach, przemawiał do nich, nauczał ich. Najczęściej jednak uszczęśliwiał Swoją obecnością Maryę. Czynił to z kilku powodów. Najprzód skłaniała Go do tego miłość najdoskonalszego Syna i uszanowanie. Czynił to jeszcze dlatego, żeby Ją, która najwięcej cierpiała, patrząc na Jego mękę i śmierć, która najbardziej za Nim tęskniła, gdy w grobie pozostawał, trwalszą wynagrodzić pociechą. Wreszcie czynił to dlatego, żeby Ją, na czas długiej z Nią rozłąki, mającej po Jego wniebowstąpieniu nastąpić, utrwalić w stałości oczekiwania na połączenie się z Nim w chwale.

Lecz obok tych względów dla Maryi, miał Jezus inne jeszcze najczęstszego z Nią obcowania powody,—więc jako Syn Jej i jako Zbawiciel, więc jako Syn Boży. Przez ciąg życia Swego często musiał pozbawiać się obcowania z Matką, gdyż Go pochłaniała praca apostolska. Chciał zresztą przykładem własnym nauczyć ludzi, że powinni z uczuć najdroższych czynić ofiarę, gdy idzie o spełnienie obowiązków stanu lub powołania. Uczył ludzi umartwiania się, gdy tego potrzeba zachodzi, w rzeczach nawet najzupełniej prawem rodzinnem dozwolonych. Ale po zmartwychwstaniu, gdy Jego natura ludzka uwielbioną została, więc gdy żadne umartwienie przystępu do niej mieć nie mogło, dlaczegożby miał Swojemu sercu synowskiemu odmawiać pociechy najczęstszego obcowania z Matką, dopóki z Nią razem przebywał na ziemi? Ta po-

ciecha należała Mu się, jako synowi i onej pozbawiać się nie mógł. Co więcej, częstszego obcowania z Maryą wymagała Jego natura ludzka, jako syna i jako człowieka-Boga, więc człowieka najświętszego, najmędrszego, najbystrzejszego w pojęciu. Każdemu przecież najmilej jest przestawać z takimi, którzy odpowiadają jego usposobieniu, jego umysłowi, jego charakterowi, a właśnie z ludzi tylko jedna jedyna Marya odpowiadała tym wszystkim warunkom.



Chrystus Pan po swem zmartwychwstaniu okazuje rany swe apostołowi Tomaszowi, który wątpił, iż ma przed sobą Zbawiciela.

Nadmienia pisarz kościelny, że Jezus nadto, jako założyciel Kościoła Ś-go, miał powody, przez czas pobytu Swego na ziemi, od chwili zmartwychwstania do wniebowstąpienia, najczęściej z Maryą obcować. Właśnie w tym czasie zostawił Apostołom najważniejsze polecenia, dotyczące utworzenia, rozszerzenia i zarządu Kościoła. Z tych to nauk, wiernie przez uczniów Chrystusa przechowywanych, czerpał i czerpie Kościół to, co nazywamy jego tradycyą, jego ustnem podaniem. Powiernikami i stróżami tych wielkich skarbów ustanowił Jezus Apostołów, a potem ich prawych z kolei następców. Lecz wiemy, że po wniebowstą-

pieniu Jezusa, jak tylko Kościół szerzyć się zaczął, Apostołowie chcąc rozstrzygnąć najważniejsze wątpliwości co do jego zarządu, udawali się do Maryi, póki żyła na ziemi, uważali Ją bowiem za wyrocznię swoją, za żywy wykład Ewangelii; nie wątpili, że Ona najdoskonalej była wtajemniczona w naukę Jezusa. Przeto Jezus wiedząc, iż Matka będzie, po Jego wniebowstąpieniu, mistrzynią Apostołów, dlatego najczęściej z Nią obcował, udzielając Jej potrzebnych do spełnienia świętego posłannictwa wskazówek.

Owe dni czterdzieści pobytu Jezusa na ziemi po zmartwychwstaniu, był to okres czasu najszczęśliwszy w życiu Maryi. Jeśli jakby niebem na ziemi były dla Niej lata, spędzone w Nazarecie, kiedy Jezus, ukryty przed światem, przy Niej ciągle przebywał — czemże były owe dni po zmartwychwstaniu? W Nazarecie Marya również cieszyła się obecnością Jezusa, lecz tam widziała Go wystawionego na wszystkie trudy, upokorzenia, przykrości życia ubogiego. Ciesząc się Jego obecnością po zmartwychwstaniu, patrzyła na Jego chwałę, na Jego uwielbienie, wiedziała, że nędza i troski ziemskie nie mają do Niego przystępu. W Nazarecie każdy dzień, każda godzina, każda chwila zbliżała kres, kiedy Jezus miał się stać celem złości i zaślepienia ludzkiego, zbliżała Jego mękę i śmierć okrutną, o czem przecież Marya doskonale wiedziała. Teraz, po zmartwychwstaniu, żadne nie dręczyły Ją obawy, bo wiedziała, iż zbliża się chwila największego tryumfu Jej Syna. Więc szybko, bardzo szybko ubiegło dla Maryi tych dni czterdzieści, musiała potem rozstać się z Synem i długo, długo tęsknić za Nim na tej biednej ziemi.





ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA

Pana Naszego Jezusa Chrystusa

według Ewangelij Świętych opowiedziany

przez Sługę Bożego.

Dziś dokładnie udowodniono, że w morzu Martwem niema żadnych istot żywych. Czasami można znaleźć ryby i skorupiaki, lecz tylko niedaleko przy ujściu rzek. Jeżeli dalej się one zapędzą, natychmiast zdychają. Ptactwo jednak nad morzem buja bezkarnie.

Gorąco dokoła morza wielkie; powietrze przytem, solą i siarką przesycone, jest prawie niemożebne do oddychania; do metali, rozpalonych przez słońce tamtejsze, dotknąć się niepodobna, bez obawy oparzenia.

Osobliwością okolicy morza Martwego są tak zwane: — „jabłka sodomskie.“ Pismo Ś-te owoc ten nazywa: „sodomską latoroślą winną“ „gronem zatrutem“, „jagodą gorzką.“ Według opisu dawnych badaczy, były te jabłka piękne na zewnątrz, lecz wewnątrz napełnione substan-

cyą, podobną do popiołu. Uczeni tegocześni owoc rzeczony nazywają asklepiadą. Ma on pozór dużego, gładkiego jabłka, które za naciśnięciem pęka, zostawiając w ręku jeno skórkę i nieco włókien.

Wogóle, roślinność dokoła morza Martwego jest bardzo nędzna, jedynie w blizkości ujścia wód słodkich rośnie trzcina i palma. W wąwozach jednak spotyka się dość piękną roślinność. Po za tem, gdzieniegdzie rosną tylko nędzne krzaki, w miejscach zaś, siarką przesyconych, ziemia jest naga zupełnie. Dopiero dalsze grunta są urodzajne. okolice te w dawnych czasach były zapewne więcej uprawne i zaludnione, o czem możemy sądzić po ruinach miast, które w wielu miejscach tu znajdujemy.

Przy południowym krańcu morza Martwego, leży równina od 2 do 3 mil szeroka, a 3 mile długa, zwana dziś El-Ghor, a dawniej — doliną Soli. Ciągnęła się ona na granicy Idumei. Wschodni brzeg morza, prawie na całej przestrzeni, jest prosty, najeżony różnej wysokości górami, poprzecinany w wielu miejscach potokami. Po tej samej stronie morza, więcej ku południu, znajduje się zupełnie pusty półwysep El-Lisan, bez źdźbła jakiejkolwiek roślinności.

O rzece Jordanie ksiądz Godlewski nadmienia, że nazwa jej po hebrajsku brzmi Jarden, co znaczy — płynąć, ciec. Dziś mieszkańcy nazywają tę rzekę: Esz-szeriach El-Kebir, co znaczy — wielkie poidło. Bierze ona początek z trzech źródeł w górach Antilibanu, mianowicie: Banias, Dan, Hasbem. Pierwsze wypływa w pobliżu Paneas, z wielkiej groty, która była u narodów syryjskich poświęcona ich bożyszczom. Źródło Dan znajduje się o milę drogi na zachód od Banias Źródło Hasbem płynie w prostym kierunku, z północy na południe, na przestrzeni znacznie dłuższej niż dwa pierwsze źródła. Po połączeniu tych swoich wód źródlanych, Jordan, z wielkim hukiem pędząc po skałach, tworzy jezioro Merom, do którego wpada jeszcze killka innych strumieni, a wypłynąwszy z Meromu, oczyszcza swe wody na łożysku skalistem. Po biegu półmilowym, natrafia na „most patryarchy Jakuba“, przez który miał się ten patryarcha przeprawiać, wracając z synami z Mezopotamii; następnie, wzmożony kilkoma dopływami, biegnie owem łożyskiem skalistem przez trzy mile pustyni, aż do jeziora Tyberyadzkiego; z tego jeziora wypływa znacznie szerszem i głębszem korytem, toczy się w niezliczonych zakrętach, często spadając kaskadą z napotykanych po drodze skał, aby wpaść do morza. Martwego.

Szerokość i głębokość Jordanu rozmaita, stosownie do miejsca i pory roku. Tak naprzykład, pomiędzy jeziorami Merom a Tyberyadzkiem, jest szeroki na 20 kroków; niżej Tyberyady — na 80; przy ujściu do morza Martwego — 100 do 150 kroków. Głębokość Jordanu wynosi 3 do 6 łokci; latem zmniejsza się ona więcej niż o połowę; z wiosną

śniegi, spływające z Antilibanu, znacznie ją powiększają, nigdy jednak do tego stopnia, żeby rzeka z brzegów występowała.

Taka jest postać rzeki, u której brzegów miały się spełnić największe w dziejach świata zdarzenia, która sama zdarzeniom onym cudownym dała początek, gdy na rozkaz Boga rozstąpiły się jej nurty, otwierając ludowi drogę do zdobycia Ziemi Świętej. Później Eliasz i Elizeusz nad Jordanem proroczy swój urząd pełnili, na znak, że tutaj kiedyś drugi Eliasz — Ś-ty Jan Chrzciciel, zamknie dzieje Starego Testamentu i Ten, którego Elizeusz, jak wszyscy zresztą Prorocy, był figurą, tutaj również rozpocznie dzieło Odkupienia i pierwszy Nowego Testamentu fundament założy.

Przechodząc tedy przez opisane wyżej miejscowości, to jest — oddalając się od swej puszczy, a zbliżając do Jordanu, Jan Chrzciciel wołał nieustannie:

— Gotujcie drogę Pańską! Proste czyńcie ścieżki Jego!

Dusze ludzkie porównywał do onej puszczy, którą swojemi stopami mierzył; dusze ludzkie bowiem, do których miał przyjść Odkupiciel, były równie, jak owa puszcza, jałowe, wyniszczone, bez śladu żyzności ducha, trzeba zatem Nadchodzącemu drogę do nich utorować. Wołał przeto Jan:

— Prostujcie ścieżki Pańskie! Niechaj nie będą krzywe i ostre, jak te, po których na tej puszczy chadzamy. Wszelka dolina niech będzie napełniona, wszelka góra i pagórek niech będzie poniżon. Małoduszni i zwątpieniem przygnębieni ufnością i męstwem się napełnijcie. Próżni i wyniośli pychę waszą poniżcie. Niech będzie prosta i czysta wola wasza! Niech dusza wasza wygładzi się z ostrości swoich panowaniem nad sobą i równowagą wewnętrzną. Wtedy ujrzycie Zbawienie Boże, to jest — Mesyasza!

Potężne upomnienia Jana do głębi przejmowały słuchaczów, kruszyły ich serca, pobudzały do żalu. Ludzie całemi tłumami czynili wyznanie grzechów, a na znak pokuty, zanurzali się w nurtach Jordanu. I oto dokoła Jana gromadzi się zastęp uczniów, którzy pomagają mu, jego nauki i upomnienia powtarzając. Jan zaś, jako inni mistrzowie duchowni, naucza ich modlitwy, skłania do postów ścisłych, do pokuty, do wyrzeczenia się samych siebie. Ci uczniowie jego, to maluczcy z pospólstwa, biedacy nieoświeceni, lecz mistrz zaprawił ich w surowej szkole bogomyślności i cnoty, więc świecą w życiu innym Żydom przykładem.

W dziejach żydowskich, a nawet w dziejach wszystkich innych ludów, nie znajdujemy tak potężnego i ogólego ruchu, jak ten, który Jan

wywołał. Wszyscy maluczcy, upośledzeni i wzgardzeni: żołnierze, celnicy, poborcy, jawnogrzesznice, spieszą do nowego głosiciela pokuty. Sfery wyższe z początku okiem przychylnem patrzą na działalność Jana, z taką prowadzoną skutecznością, lecz ani faryzeusze, ani saduceusze, ani doktorowie nie przyjmują chrztu, zalecanego przez Jana: Saduceusze z zasady niechętni wszelkim nowościom, lekce sobie ważą obrządek, głoszony przez człowieka, którego posłannictwa nie uznają. Faryzeusze, ufni w swoją świętość zakonną, nie należą do tych ludzi, którzy się biją w piersi. Są zupełnie zadowoleni z siebie, po cóżby się mieli jawnie przyznawać do grzechów, których w sobie postrzedz nie chcą. Ich drażni, gniewa, wielka surowość Jana, więc rychle nazywają go zapaleńcem, opętanym przez Belzebuba.

Lud jednak nie dzieli ich mniemań. Słowa Jana zachwycają go, przejmują, rozumie one i pełni. Bowiem w całej Ewangelii widzimy, że Bóg, zamierzając oddziaływać na ludzi przez ludzi, pomija wielkich i mądrych, natomiast zwraca się do prostaczków, do upośledzonych; skłania się nie ku tym, którzy poczytują siebie za sprawiedliwych, lecz do tych gresznikow, którzy szczerze żałują za winy. Jan nawet, tak surowy, łagodniał, gdy przemawiał do maluczkich, jego rady i przestrogi tchnęły dobrocią.

— Nad to nic więcej nie czyńcie i nie bierzcie, jeno co wam postanowione. Sprawiedliwości przestrzegajcie, nikogo nie krzywdząc! — mówił do poborców i celników.

— Bądźcie łagodni i spokojni, powstrzymujcie się od gwałtu i grabieży, przestawajcie na żołdzie swoim! — upominał żołnierzy.

— Okazujcie życzliwość jedni drugim — mówił do wszystkich. — Kto ma dwie suknie, niech da niemającemu; a kto ma pokarmy, niech podobnież uczyni.

Znał ten wybraniec Boży serca ludzkie, znał dusze, umiał dla każdego znaleźć odpowiednie słowo. Odrazu przenikał fałsz, pychę, obłudę i z oburzeniem przeciwko nim powstawał. Oto widzi wśród ciżby, słuchającej jego nauk i oczekującej na chrzest, faryzeuszów i saduceuszów. Odgadł w nich fałszywców, zawrzał gniewem świętym, przeniknąwszy ich bezeceność obłudną; odgadł, że oni w serca ludu sączą truciznę nauk fałszywych o Królestwie Bożem, o Mesyaszu, o świętości i sprawiedliwości. Przeto zdjęty zgrozą jął ich karać słowy:

— Rodzaju jaszczurczy! kędy schronicie się przed gniewem przyszłym? Jedna wam tylko pozostaje ucieczka: żałujcie! czyńcie godne owoce pokuty!

Znając nadto ich pychę, ich zarozumiałość gorszącą, nadmieniał:

— Nie mówcie już: „cóż nam się może stać złego? wszak mamy obietnice Boskie? wszak jesteśmy synami Abrahama?“ Nie mówcie tak, bo co pomoże nazwa bez rzeczy? Co wam pomoże, iż Abrahama zowiecie ojcem waszym, kiedyście do niego nie podobni? Mocen jest Bóg i z tych kamieni przy drodze wzbudzić synów Abrahamowi. Bóg Sam zasadził was, jako drzewa, na roli swojej, ale jeżeli drzewo nie przynosi owocu, będzie wycięte bez miłosierdzia. Już nadchodzi godzina dla was, drzewa bezpłodne, kiedy siekiera będzie przyłożona do korzenia, a wszelkie drzewo, nierodzące owocu dobrego, będzie wycięte i w ogień wrzucone!

Tak oto Bóg przez usta proroka swego chłostał pychę i uprzedzedzenia starszyzny ludu żydowskiego; błyskał przed jej oczyma, niby piorunem, słowem z Siebie natchnionem, w posępnem, przerażającem świetle, ukazując jej zawieszone nad nią nieubłagane dekreta tej sprawiedliwości, której żaden człowiek ujść nie może. Owa siekiera Boża, wspomniana przez Proroka, to Rzym, grożący ludowi żydowskiemu ostateczną zagładą, to również Sam Mesyasz, Sędzia Boski i Najwyższy w dniu Sądu Ostatecznego, Wykonawca sprawiedliwości przedwiecznej.

Nadmieniliśmy, że Jan z pokornymi i sprawiedliwymi był dobry i łaskawy, lecz dla chytrków i pysznych okazywał się surowym nieugięcie. Wspomagany Duchem Bożym, nikogo nie oszczędzał. Lud coraz większą czcią go otaczał, postać wybrańca Bożego coraz potężniejszym dla niego jaśniała urokiem. Bo jest na dnie sumienia ludzkiego — czyni uwagę Ojciec Didon — wrodzona jakaś potrzeba sprawiedliwości; lżej się człowiekowi robi na sercu, gdy usłyszy głos niezależny, bez bojaźni, bez wyrzutów ludzkich, wytykający możnym ich występki i bezprawia. Opinia powszechna schyla głowę przed takimi ludźmi, których pożera głęboka miłość dobra i prawdy; świętość, niby aureola nadziemska, jaśnieje na ich czole i pomimo, że są z dóbr ziemskich, z potęgi ziemskiej ogołoceni, przecież stają przed mocarzami tego świata, jako istoty wyższe, powagą Boga Samego przyobleczone.

Jan, ten pustelnik ubogi, z głębi swojej puszczy góruje nad czasem swoim; wszystko blednie wobec surowej a promiennej postaci Proroka, który tak potężnie gromi grzech, nawołuje do cnoty, przeraża grozą, roznieca nadzieje narodu, a każde słowo swoje bohaterską pieczętuje świętością. Zaprawdę — w Janie zmartwychwstał Eliasz.

A tłumy, w szczerym swoim zapale, dosłownie rozumieją to zmartwychwstanie, wierzą w nie, mówią o niem. Wiara, że z nadejściem czasu Mesyasza, wielcy prorocy powrócą do życia i znów we własnej postaci ukazywać się będą, należała do silnie zakorzenionych zabobonów wtedy. Nic tedy dziwnego, że lud zapytywał:

— Nie jest-li Jan którym z onych proroków? Nie jest-li samym Chrystusem?

Zjawienie się takiego, jak Jan, męża, który wyszedłszy z pośród ludu, zdobył sobie rozgłos ogólny i wpływ moralny tylko siłą swego geniuszu, swego natchnienia, w oczach władz zawsze będzie zdarzeniem, dającem do myślenia. Już z tego powodu, że niezwykłością przemówień swoich, niezależnością czynności swoich zwraca uwagę ogólną i umysły porusza, — już z tego powodu taki mąż władzom cywilnym i duchownym wydaje się podejrzanym, niebezpiecznym. Jan przeto nazbyt silnie oddziałał na społeczność żydowską, żeby nie ściągnął na siebie podejrzeń Sanhedrynu.

Wiemy, że owo zgromadzenie, ów Sanhedryn, uważał siebie za stróża i wykonawcę Zakonu, powoływał przed swój trybunał każdego, kto, bez jego upoważnienia, dotykał spraw religijnych. Jan zatem musiał tembardziej oburzyć Sanhedryn, ponieważ odrazu zyskał wpływ zdumiewający, a działał bez jego upoważnienia. W dodatku Jan chłostał surowo kapłanów, wykazywał nadużycia władz i to ostatecznie spowodowało, iż Sanhedryn wystąpił przeciwko niemu.

Gdyby Jan działał w miastach, lub gdyby się był ukazał w Jerozolimie, owa Rada byłaby go niezwłocznie oskarżyła, uwięziła i proces mu wytoczyła. Lecz na puszczy trudno było Proroka schwytać. Musiano poprzestać na wysłaniu do niego ludzi zaufanych, celem wybadania go: skąd pochodzi to jego działanie, jego proroctwa, nawoływanie do pokuty. Wysłańcami byli kapłani i lewici, należący do zagorzałych faryzeuszów. Ci, przybywszy na puszczę, zapytali Jana:

— Ktoś ty? Kim się mienisz? Zaliś Eliasz?

Jan odparł z prostotą:

— Nie. Ja nie jestem Eliaszem.

— Kimże więc jesteś? — badali wysłańcy Rady. — Jestżeś Prorokiem, którego zapowiadał Mojżesz?

— Nie jestem nim — brzmiała odpowiedź.

— Więc co powiadasz sam o sobie? Mów, żebyśmy oznajmili tym, którzy nas wysłali...

A Chrzciciel:

— Jam głos wołającego na puszczy: „Prostujcie drogę Pańską!“

Wysłańców nie mogła zadowolić taka odpowiedź; byli przecież faryzeuszami, więc zaraz przyczepili się do Jana:

— Czemu ty chrzcisz — zapytali — jeśliś ani Chrystus, ani Eliasz, ani Prorok?

Tu trzeba nadmienić, że uczeni żydowscy przyznawali Chrystusowi władzę udzielania chrztu, powołując się:

Na słowa Ezechiela: „I wyleję na was wodę czystą, i będziecie oczyszczeni od wszech nieczystot waszych.“

Na słowa Zacharyasza: „Dnia przyjścia Mesyasza będzie źródło otworzone domowi Dawidowemu, i mieszkającym w Jeruzalem, na omycie grzesznego.“

Wreszcie na słowa Joela:

„Wszystkiemi strumieniami judzkiemi pójdą wody, a źródło z domu Pańskiego wynijdzie i obleje potok ciernia.“

Eliaszowi także przyznawali władzę udzielania chrztu, oraz obiecanemu przez Mojżesza Prorokowi. Powszechnie się na to godzono.

Skoro wysłańcy Sanhedrynu zadali Janowi wyżej przytoczone pytania, on jasno, stanowczo, bez najmniejszej dwuznaczności odparł:

— Dwojaki jest chrzest: wody i ducha. Ja chrzczę wodą, Chrystus chrzci Duchem. A On już pośrodku was stanął, a wy Go nie znacie.

Następnie dodał:

— Ten jest, który za mną idzie, który przede mną stał się; któregom ja niegodzien, żebym rozwiązał rzemyk u trzewika Jego.

Niewiadomo, czy co więcej Sanhedryn od Jana wskórał. Wątpliwości jednak nie ulega, że Prorok po tem badaniu, w dalszym ciągu ogłaszał i dawał chrzest pokuty, a nikt go o to nie niepokoił. Wciąż wzrastająca cześć dla niego ludu czyniła go nietykalnym. Trudnoż podnieść dłoń na człowieka, strzeżonego przez miłość rzesz niezliczonych i przez Boga Samego.

Wszystko to działo się w lat dwadzieścia dziewięć po Narodzeniu Chrystusa Pana, a jak mówi Łukasz Ś-ty: „piętnastego roku panowania Tyberyusza cesarza, gdy Poncyusz Piłat rządził Ziemią Żydowską.“ Ksiądz Sykora, w wykładzie swoim „Złotej Biblii“, dziele uznanem za znakomite, czyni z tego powodu uwagę następującą:

„Rok trzynasty panowania Tyberyusza nie należy liczyć od roku 756 po założeniu Rzymu, kiedy Tyberyusz panował spólnie z cesarzem Augustem, gdyż wtedy miał on tylko władzę nad prowincyami cesarskiemi; lecz od śmierci cesarza Augusta, to jest od 19 sierpnia 767 roku, kiedy już sam zasiadał na tronie. Jest to więc rok 782 po założeniu Rzymu. Naonczas panowali wprawdzie jeszcze w Palestynie synowie Heroda Wielkiego, Antypas i Filip, w dzielnicach, odziedziczonych po ojcu, lecz Archelaus już był pozbawiony władzy i wysłany na wygnanie do Wienny w Galii. Dzielnica jego stała się prowincyą rzymską, przyłączoną do Galii, którą zarządzał prokurator rzymski, z siedzi-

bą w Cezarei. Poncyusz Piłat był piątym z rzędu prokuratorem. Arcykapłan właściwie był jeden, a urząd jego według prawa Mojżesza, miał być dożywotni. Lecz Herod Wielki i jego następcy, a także prokuratorowie rzymscy, nie przestrzegali tego prawa, samowolnie składali z urzędu arcykapłanów, mianowali nowych, zostawiając poprzednim tytuł. Tak też było w piętnastym roku panowania Tyberyusza. Oprócz rzeczywistego arcykapłana Kaifasza, istniał jeszcze drugi, złożony z urzędu — Annasz, zięć Kaifasza. W tym właśnie czasie Jan otrzymał na pustyni rozkaz Pana, i usłuchawszy niezwłocznie: — „udał się nad Jordan opowiadać chrzest pokuty na odpuszczenie grzechów.“

(D. c. n.)



Bogarodzica naszą Matką.

Dla lepszego uwydatnienia współudziału Maryi, w dziele zbawienia, zestawmy to, co o Niej głosi podanie, z tem co Księgi Święte mówią o Zbawicielu swiata.

Podług Pisma Ś-go Jezus Chrystus jest naprawcą zepsutej naszej natury — dawcą życia [1]) twórcą nowego zakonu i nauczycielem wiary, bez której niepodobna być zbawionym [2]) jest sprawcą zbawienia [3]). A kimże jest Marya? Otóż jeżeli Maryę będziemy rozważać w stosunku do osoby Pana Jezusa, jako Zbawiciela całego świata — Marya podług uznania Ojców i wskazówek liturgii jest zaczątkiem zbawienia *primitiae salutis, primitiae nostrae salutis* [4]), gdyż uświęcenie jej w szczególny stało się sposób i na początku. Jeżeli znowu Ją postawimy naprzeciw rodzaju ludzkiego upadłego i odkupionego zobaczymy, iż Marya wszędzie witaną jest jako *caput salutis nostrae, salutis universalis causa* [5]), jako Matka zbawiająca wszystkich wiernych, jako zbawienie świata, *matrem salutis, salutem generis christiani, salvatricem mundi* [6]).

Nie dosyć tego, że Ojcowie ukazują Maryę po Panu Jezusie, jako przyczynę zbawienia, ale nadto przyznają Jej wszystko, co się dobrego w pojęciu zbawienia zawiera. Marya po Panu Jezusie jest zbawczynią Adama i Ewy, zbawieniem śmiertelników, zapłatą odkupienia świata. [7])

Prez Nią jesteśmy wyzwoleni z mocy szatana, z niewoli grzechu, Ona ułagodziła gniew Sprawiedliwego Sędziego i wyrok potępienia cofnięty został [8]) Nareszcie, ażeby ta błogosławiona Panna miała swą

---

[1]) Actor. 3,15.
[2]) Haeb. 12,2.
[3]) Haeb. 2,12.
[4]) Passaglia de Im. Con. 5,6 n. 1374.
[5]) Passag. ibed.
[6]) Ibidem n. 1375.
[7]) Passag. 1387.
[8]) Ibidem.

cząstkę we wszystkich łaskach, jakie nam wyjednywa Jezus Chrystus, Syn Jej, nasz Zbawiciel i Odkupiciel, jest Ona odrodzeniem ludzi przychodzących w grzechu — Ona łączy wiernych z Bogiem — przeprowadza z ciemności w światłość, ze śmierci do życia — przez Nią wszelka doskonałość i szczęśliwość. [1])

* * *

Ale z jakiego tytułu, powszechne to współdziałanie przysługuje Maryi, skąd ten udział w wyposażaniu ludzi dobrami nadprzyrodzonemi, które Pan Jezus męką Swoją wysłużył, aby nas odrodzić i do godności dzieci Bożych przywrócić?

Z macierzyństwa boskiego to wypływa, odpowiadamy, do niego odwołują się ustawicznie Ojcowie Ś-ci, ilekroć nas pouczają o bardzo obszernym, prawie powszechnym wpływie Maryi w dziele odkupienia i uświęcenia naszego. [2])

Wystarczyłoby powołać się na cytaty powyżej przytoczone—wszystkie mogłyby się sprowadzić do tego oświadczenia Ś-go Epifaniusza: „Marya, nowa Ewa, jest matką żyjących, źródłem życia boskiego, gdyż prawdziwe życie przez Nią do nas przyszło.“ I dlatego Kościół śpiewa: Co nam smutna Ewa odjęła, wróciła nam (Marya) w swem płodnem nasieniu. [3])

Trzymając się raz wytkniętego planu — powtórzymy jeszcze to, co napisał jeden z przyjaciół Ś-go Bernarda, uczony opat Guerric. Mając na myśli błędy głoszone przez heretyka Holwidyusza — tak dalej pisze: „Matka Chrystusa nie tylko okazuje się Matką chrześcijan, z tytułu, że jest Matką Boską, czuwa Ona z wielką pieczołowitością nad wiernymi i otacza nas miłością taką, do jakiej niezdolna żadna matka. Nikogo nie opuszcza — wszystkich nas za dzieci swoje uważa i nie przestaje mnożyć owoców pobożności... Jeżeli sługa Chrystusów mógł powiedzieć do wiernych: dziatki moje was bolejąc rodzę, ażby był Chrystus w was wykształcon, [4]) o ileż właściwiej te słowa odnoszą się do Najświętszej Maryi, która nas rodzi w sposób daleko szczytniejszy i świętszy — rodząc Słowo przedwieczne.

„I patrzcie, ażali to dzieci same nie zwracają się do Maryi, jako do Matki — wiedzone poczuciem synowskiej ufności, uciekają się do Maryi we wszystkich potrzebach i niebezpieczeństwach i przyzywają Jej imienia.“ [5])

---

[1]) Passag. n. 1338.

[2]) Ibidem.

[3]) Quod Eva tristis abstulit Tu reddis almo germine.

[4]) Galat. 4,19.

[5]) Guerric ab. Sermo in Assum. B. V. M. n. 2, 188.

Ryszard od S-go Wawrzyńca jaśniej rzecz przedstawia: „Chociaż Marya, jeden raz stała się Matką i jednego poczęła Syna, w duchowym porządku jest matką niezliczonej dziatwy. Nie bez przyczyny Ś-ty Łukasz wyraża się o Maryi: *i porodziła Syna Swojego Pierworodnego...* [1]) jako Ewa nazwaną jest matką żyjących, podobnie Marya matką jest wszystkich powróconych do życia łaski...

Sara była figurą Maryi — dała Abrahamowi jednego syna, a przecież Pismo Ś-te zowie Ją matką całego ludu izraelskiego i Izajasz prorok woła: Patrzcie na Abrahama, ojca waszego i na Sarę, która was porodziła". Marya, jako druga Sara, miała jednego syna, prawdziwego Izaaka, który się stał naszem uweseleniem i radością wedle ducha i jest matką ludu Bożego. [2])

Oto powód i główna podstawa duchowego macierzyństwa Maryi, od Niej i przez Nią bierzemy siły tego życia, które nas stawia w poczcie dzieci Bożych; jest matką wedle ducha i w porządku łaski, ponieważ jest matką Boga Zbawiciela wedle natury i ciała. Wszystko to bez końca głoszą chwalcy Maryi z dawniejszych czasów — wypada powołać się na świadectwa bliższe naszych czasów, choćby dla zachęcenia poznania pisarzy kościelnych, którzy na to zasługują.

Posłuchajmy Wilhelma Małego: [3]) „Owoc Maryi jedyny, imię jego Jezus — gdyż przyniósł zbawienie światu; ale w tym jednym owocu jakież mnóstwo ziarn. W Panu Jezusie Marya zyskała mnogą dziatwę, ponieważ będąc matką głowy — jest matką i jej członków. Wszystko pobudza do dawania Jej słodkiej nazwy Matki, a zarazem oddawania Jej czci i uszanowania związanego z tym tytułem. [4])

Inny autor Geoffroy, opat z Vendome, współczesny Wilhelmowi, najpierw w wiązanej mowie śpiewa chwałę Maryi, [5]) nazywa ją: Odno-

---

[1]) Łuk. 2.7.
[2]) Żył na początku XIII w. acutus, doctus pius finit.
[3]) Ric. de S. Laur. Opp. Alberto Magni t. XX.
[4]) Guilchel in Cant. IV. 3.
[5]) O, Maria gloriosa
Jesse prolis generosa
Per quam fuit mors dannurta
Atque vita reparata.
Virgo semper speciosa
Stella maris, coeli porta
Ex qua mundi lux est orta.
. . . .
Mundi salus, mors peccati
Summi facta parens nati.
God. Vind. P. S. 234.

wicielką życia, zbawieniem świata — bramą nieba — ucieczką grzeszników i i tak przemawia o macierzyństwie Bogarodzicy: „Zaprawdę błogosławiona Marya poczęła Chrystusa, a w Chrystusie zrodziła chrześcijan, więc matka Chrystusa jest naszą matką — z tego też wypływa, że chrześcijanin i Chrystus są braćmi sobie-"

W sto lat później autor *Zwierciadla Najświętszej Panny* pisze: „Marya nie tylko jest matką wiernych — Ś-ty Ambroży niegdyś powiedział: „Jeżeli Chrystus jest ojcem wierzących, dlaczegóżby ta, która zrodziła Chrystusa nie miała być ich matką?" Cieszmy się więc i powtarzajmy: błogosławiony brat, przez którego Marya matką naszą, błogosławiona matka, przez którą Chrystus stał się naszym bratem." [1])

W tymże samym wieku błogosławiony Albert Wielki, jako poważny teolog, głośno podnosi duchowe macierzyństwo Maryi i na tychże opiera je podstawach. Przytoczymy na zakończenie tego rozdziału choć krótki wyjątek:

„Taka była wola Boża, żeby Marya uczestniczyła w odrodzeniu natury naszej — z następnych racyi: Po Bogu, z Bogiem i za jego wolą stała się przyczyną skuteczną odrodzenia naszego, ponieważ zrodziła Zbawiciela i ponieważ przez swe cnoty zasłużyła na najwyższy ten honor. Była ona przyczyną materyalną (zewnętrzną), gdyż Duch Ś-ty, zależnie od Jej zezwolenia zstąpił na Nią i poczęło się Słowo Boże. Marya jest wreszcie przyczyną ostateczną, gdyż wielkie dzieło odkupienia miało na celu chwałę Boga — a z niej płynie i chwała Maryi. Jeszcze jest przyczyną formalną — kształt dającą — gdyż przez swe ubóstwione życie jest powszechnym wzorem, jak mamy nie chodzić w ciemnościach, ale podążać do posiadania wiecznego światła." [2])

(D. c. n.)

ks. Wl. F.



[1]) Speculum B. V. M. Op. S. Bonavent. t. XIV.

[2]) Albert M. Quacsl. super Missus est Op. t. XX.

Dzieje klasztoru Jasnogórskiego,

KU CZCI I CHWALE BOGARODZICY OPOWIEDZIANE

przez

CZCICIELA MARYI.

Część druga:

KSIĄDZ PRZEOR AUGUSTYN KORDECKI

Starosta, poleciwszy żołdactwu pędzić górników do roboty, sam podążył do Millera, chmurny i niespokojny. Sumienie go szarpało, walczył z niem. Po drodze spotkał rajtarów, prowadzących Jana Wacka ze związanemi w tył rękoma. Górnik spojrzał na niego urągliwie, lecz słowa nie wyrzekł. Szedł na śmierć bez strachu, bez łzy. Starostę zmogło to jego męstwo wielkie, kazał go rozwiązać i puścić, dodając:

— Umykaj! Wolny jesteś. Życie ratuj...

Starzec nic nie odpowiedziawszy, zawrócił do towarzyszów swoich. Ci już, wzdychając, jęcząc i płacząc, rozpoczęli minę. Wacek przystastanął, chwilę patrzył na nich, poczem zawołał:

— Bracia moi! a toż na was patrzy Bóg Najwyższy i Matka Jego Przenajświętsza... Nie wstyd wam małego serca? nie żal wam pracować przeciwko Jasnej-Górze? Niech biją, niech katują, niech dręczą—rzućcie młoty!

— Co poradzim przeciwko sile? — odezwali się z płaczem.

— Niech katują — powtórzył starzec — większą od Pana Boga pomstę wywołają. — Jakto, wy cierpieć nie umiecie? na wytrwałość was nie stać?

Żołdak jakiś uderzeniem pięści przerwał mu mowę. Nie bronił się starzec. Zawleczono go ku poczerniałym belkom zburzonego domostwa, bracia patrzyli za nim z przerażeniem. Starzec szedł na śmierć z duszą silną, z umysłem niezłomnym. Szwedzi zarzucili mu pętlę na szyję... Z dala, na murach warowni klasztornej, przeor Kordecki, który widział wszystko, odmawiał modlitwy za zmarłych, błogosławił męczennika, bo czuł, że on życie za wiarę daje.

W chwili, gdy starzec zawisł w powietrzu, towarzysze jego rzucili młoty o ziemię, wołając:

— Gińmy, jak on! Raczej śmierć chwalebna, niż grzech!

Patrzyli na nich Szwedzi ze zdumieniem, pojąć nie mogli bohaterstwa. Jeden z żołdaków, przekonawszy się, że z powieszonego życie już uleciało, odciął sznur. Upadło ciało bezwładnie na ziemię, górnicy płaczem ryknęli, rzucając się twarzami do ziemi...

Tak minął dzień cały, katowania szwedzkie nie mogły skłonić olkuszan do pracy. Dopiero dni następnych, udręczeni, głodzeni, rozpoczęli minę, ale była to praca tak łzawa, smutna, ciężka i rozpaczna, jakiej chyba świat nie widział...

A pan Czarniecki, wróciwszy z wycieczki, zdziwił się niepomiernie, nie nalazłszy w fosie onego człowieka, którego tam, związanego, z zakneblowaną gębą, wrzucić kazał.

Knebel i sznury zostały, ale więzień uszedł cało.

Więźniem owym był ów Niemiec Purbach, który, opłacony przez Weyharda, miał załogę warowni do zdrady namawiać. Przypadek zrządził, że rzucono go pod basztę, przy której miał schronisko Machler. Knebel, spiesznie przywiązany, omknął się z ust Niemca, który też jęczeć począł mimowoli. Naraz usłyszał z góry głos:

— Wer da? Jakiż kaduk tam stęka?

Poznał Niemiec krewniaka, zawołał uradowany:

— To ja, Purbach! Ratuj bracie...

— A co ty tam robisz?

— Można mówić bezpieczno?

— Byle nie głośno.

— Ano, widzisz, służę ja w regimencie księcia heskiego...

— I tu twoja kwatera? — rozśmiał się Machler. — Chyba nie wiesz, że nasi poszli was rżnąć...

— Ba! nie wiem... Oni mnie przecież schwytali, związali i tu rzucili, jak psa. Dobrze, żem knebel z gęby wypluł, bo byłbym już zdechł... Cóż z tego? Wrócą, porwą mnie i zadyndam z pewnością. Uciekać nie mogę, bom silnie skrępowany. Ratuj, bracie!

— Jakże cię mam ratować? I moja głowa coś waży.

— Zmiłuj się! Zabiją mnie, obwieszą i gratka nam przepadnie. Właśniem szedł do ciebie... Uważ: Weyhard obiecuje dwieście talarów, jeśli ułatwisz wzięcie tej przeklętej warowni... Ładny grosz...

Milczał Machler i rozmyślał.

— Leż cicho, ani słowa... Spróbuję, może potrafię cię wyratować.

Rozejrzawszy się dokoła, spuścił się na dół ku furcie, przez którą wymknęła się wycieczka, a znalazłszy się w fosie, przeciął więzy krewniaka, dodając:

— Uciekaj, co duchu, a pamiętaj, żeś mi życie winien.

— A to, com ci mówił? Dwieście talarów... na rozwagę weź...

— Patrzą mi na ręce, pilnują...

— Et! gadasz jeno... Masz ty głowę, radę sobie dasz. Wszakci muszą być pomiędzy wami niechętni, tchórzliwi.. z nimi pogadaj.

— Obaczym, ale... trudno będzie.

— Jakże się rozmówim?

— Znak ci dam, wywieszając o północku czerwoną latarnię. Gdy ją obaczysz, przychodź śmiało.

— Pamiętaj — mruknął Purbach, poczem wygrzebawszy sią z fosy, przekradł się do obozu.

Machler zaraz dnia następnego zaczął judaszową robotę. Zamoyski pierwszy zauważył, że puszkarz. niedawno milczący, oburkliwy, teraz snuł się pomiędzy ludźmi, szeptał im o groźnych siłach szwedzkich, narzekał na opór zakonników, z którego zgubę stanowczą całej załogi wróżył. Robota szła mu, jak z kamienia. Niebawem inni postrzegli, że Niemiec postrach szerzy. A szerzył niebezskutecznie. Chwast zwątpienia krzewił się wcale bujnie, nawet pomiędzy szlachtę się dostał. Zaczęto porozumiewać się tajemnie, urządzano schadzki nocne...

Szwedzi wciąż szturmowali do warowni, wciąż jednak bez pożytku dla siebie; górnicy olkuscy rąbali twardą opokę niechętnie... Miller wszystkich łajał, pędził, a w duchu wyrzucał sobie, iż Weyharda posłuchawszy, tu przyszedł. Purbach, zawiadomiwszy Czecha, że zdradne dzieło już rozpoczął, obiecywał dobry ze swoich niecnych zabiegów skutek. Wysłuchawszy go, Weyhard do Kalińskiego się zwrócił.

— Mości starosto — rzekł — trza ci znów iść do klasztoru, nie jako poseł od nas, ale jako przyjaciel i doradca życzliwy. Rozumiesz? wymowny jesteś, Polak, łatwiej może skłonisz mnichów do zaniechania szalonego oporu!

— Jeśli Miller się zgodzi, pójdę! — odparł Kaliński.

Udali się do Millera, którego zastali przy pijackiej biesiadzie z oficerami. Mówiono o wycieczce z klasztoru, która srodze się Szwedom we znaki dała i haniebnie ich upokorzyła.

Miller kwaterował w namiocie ogromnym, w tej chwili odsłoniętym z przodu. Przez otwór można było widzieć klasztor, spowity dymami, odstrzeliwający się zajadle bateryom szwedzkim. W dolinie i na wzgórzu snuł się żołnierz szwedzki, wrzaski bojowe, huk dział, trąby i bębny towarzyszyły uczcie jednego z najgroźniejszych wodzów Karola Gustawa. Stół biesiadny, okryty kilkoma obrusami różnego pochodzenia, ozdobionemi szlakiem, szytym w herby domów polskich, a gdzieniegdzie w krzyże, co świadczyło, że Szwedzi nie oszczędzali ołtarzy Pańskich, jaśniał od sreber staroświeckich, stanowiących plon rabunku. Były tam ogromne półmiski pańskie, i kubek szlachecki, jedynak pieszczony, co stał niedawno w szafie za szkłem, w spokojnym gdzieś dworku; były puhary ogromne misternych kształtów, i owe sztućce potężne, z figurkami na rękojeściach, które dawniej każdy przy sobie nosił. Gdy wszedł Weyhard z Kalińskim, Miller nachmurzył się, bo do Czecha coraz większą czuł niechęć za to, że go pod Jasną-Górę sprowadził. Zaraz też odezwał się z wymówką, wskazując nieopodal sterczącą belkę, z której przed chwilą zdjęto powieszonego górnika:

— Taka tu wojna! Wieszać trzeba tych, których nam hrabia za sprzymierzeńców podawałeś. Lud przecież, według ciebie, jako jeden mąż miał przy nas stanąć...

— Wszędzie napotyka się trudności — mruknął Weyhard — mimo to posuwamy się...

— Pięknie się posuwamy — uciął Sadowski — dowodem noc ostatnia!

— A wszystko twoja wina, hrabio! — ciągnął Miller... Mówiłeś nam o mnichach trwożliwych, tymczasem znaleźliśmy wyćwiczonych żołnierzy. Bez kolubryn burzących nie poradzim z Jasną-Górą...

— Obejdzie się bez kolubryn — szepnął Weyhard tajemniczo.

— Hrabia zawsze łudzisz nas bańką mydlaną! — sarknął Miller.

— Wcale nie. Warownia długo się nie ostoi, już tam myślą o poddaniu.

— Gruszki na wierzbie! — machnął dłonią Miller.

— Z pewnością, jenerale, wiem, że załoga znużona i zniechęcona walką, radaby już skończyć.

— To czemuż posłów nie widzę?

— Trzeba bodźca po temu. Właśnie proponować przyszedłem żebyś wasza miłość pozwolił udać się na Jasną-Górę panu staroście bracławskiemu z radą i namową. Mniemam, że ich przekona.

— Niech idzie — rzekł Miller — ale, prawdę mówiąc, więcej ja ufam w skutek kul, niż w układy. Działa burzące, oto, co mnichów przekona najsnadniej.

Potem, bijąc w stół pięścią, dodał z pasyą:

— Trzeba przyznać, że jak na mnichów, dobrze sobie radzą. Milion piorunów! jeszcześmy nigdzie takiego oporu nie spotkali... Kule ich nie biorą, dachów im nawet zapalić nie można... A ta wycieczka— zuchwalstwo nie do pojęcia! Straty ogromne, cała ich mysia góra tego nie warta. O! pomszczę się straszliwie, załogę w pień wytnę, a klasztor z kościołem i wszelkim budynkiem—zburzę. De Fossis zabit, Horn rozpłatany śmiertelnie... Stu przeszło trupa z naszej strony, a oni pono jednego ciurę stracili... Wyszliśmy przy nich na partaczy!

— W każdym razie spróbować traktatów nie wadzi — zauważył starosta — podjąłem się i nie cofam!

Miller skłonił głową na znak przyzwolenia, niebawem też Kaliński, z trębaczem i białą chorągwią udał się do klasztoru.

Dano znak przeorowi o pośle. Kordecki niezwłocznie wyszedł naprzeciw i starostę do definitarza wprowadził. Tu już zgromadzili się zakonnicy i szlachta. Spodziewał się przeor znaleźć w tych towarzyszach swoich podporę niezłomną, lecz omylił się. Z wyjątkiem Zamoyskiego, Czarnieckiego i kilkunastu jeszcze, których istotnie duch niezłomności i poświęcenia się ożywiał, reszta nie była zbyt pewna. Nie dziw. Niewielu w cud uwierzyć może, bo niewielu tej łaski niebieskiej jest godnych. Większość nawet zakonników utrzymywała się w męstwie jeno siłą ducha Kordeckiego; zostawiona sobie — chłodła. W obecności przeora wszyscy głosowali za wytrwaniem, lecz gdy odszedł,—wzdychali. Szturmy przejmowały trwogą ich serca, modlili się już nie o zwycięstwo, ale o znośne warunki pokoju.

Byli to przecież zakonnicy, których inna zaprzątała wojna, ta mianowicie, którą nieustannie prowadzili z sobą, — z ciałem, z myślą, z wątpliwością, z szatanem, z tem wszystkiem, co nigdy najświętszemu nawet z ludzi pokoju nie daje. Załoga świecka traciła ducha, bo widziała się bezsilną wobec wielotysiącznej armii szwedzkiej. Dla ludzi światowych trzeba było odgłosu świetnych zwycięstw, a tu Polska upadła wszędzie, zewsząd nadchodziły wieści żałobne o klęskach. Skądże miała zaczerpnąć męstwa garść mizerna obrońców Jasnej-Góry, utworzona z zakonników, szlachty, ludu wioskowego; owa garść, mająca przed oczyma doskonale uzbrojone i wyćwiczone tysiące Szwedów, umieszczona na niezbyt obronnej opoce, wśród potopu szwedzkiego, niby na wyspie, otoczonej szalejącemi falami oceanu?

Stan umysłów załogi jasnogórskiej w zupełności zależał od Kordeckiego, na nim się wspierał. Gdyby mąż ten świętobliwy nie podtrzymywał ducha, wszyscy popadliby w zwątpienie. Ale najlżejsza przeciwność niweczyła dzieło pobożnego przeora. Z wyjątkiem wyżej wymienionych, każdy w skrytości przewidywał musowe poddanie się, przemyśliwał, jakby je najmniej straszliwem uczynić, a jednocześnie ubole-

wał, także po cichu, nad uporem Kordeckiego. Niejeden, poruszony mową przeora, przysięgał do tchu ostatniego bronić świętego miejsca, a wróciwszy do kwatery, sam siebie nie poznawał, sam sobie wydziwić się nie mógł, gdy spojrzawszy w serce swoje, znalazł je tak zmienionem. W niższych rzędach obrońców Jasnej-Góry, które właśnie Machler usiłował zniechęcić i do zdrady przywieźć, rownież szerzyło się zwątpienie. Ludzie to byli przeważnie sprowadzeni z pośpiechem, bez wyboru, których oddalenie od domów, obawa o nie, sam widok Szweda w tak znacznej liczbie, a także pogłoski, jakoby już cała Polska mu uległa, napawały trwogą. Wprawdzie i tu głos Kordeckiego, stała wiara i pobożność, wytwarzały chwilowe męstwo i do poświęceń gotowość ale gdy głos natchniony przeora milknął, znikało także męstwo i poświęcenie. Najemni Węgrzy i Ślązacy, stanowiący większość załogi, zaprawni byli w żołnierce, ale tylko nadzieja zapłaty i karność utrzymywały ich w obowiązku. Przeto dzielność i trwałość obronna klasztoru zależały wyłącznie od wodzów, od nieustannej ich baczności, od pilnego wglądania co chwila nietylko w stan murów twierdzy, ale także w stan serc i umysłów. Ileż to niepokoju, ile trosk codziennych, ile obawy przetrwać było potrzeba, jak czytać w twarzach, jak badać uczucia, żeby iskra zgubna nie wzburzyła podatnych do tego umysłów.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, trzeba przyznać, że niezupełnie fałszywemi były rachuby Weyharda i Kalińskiego, którzy mniemali, że przypomnienie oblężonym stanu Polski i stanu twierdzy, odciętej przez Szwedów od świata, skutek dla nich pożądany wywrze. Bo taki był cel Kalińskiego, udającego się do klasztoru, rzekomo jako doradca i przyjaciel oblężonych. Przybrał on właściwą do swej roli postawę i twarz odpowiednio ułożył.

— Rad jestem — rzekł na wstępie — że mogę u wielebnego ks. przeora odetchnąć nieco. Nie jawię się tu wcale, jako poseł. ale jako spółobywatel, jako brat, pragnący pomiędzy swymi spędzić choć małą chwilę. Więc nie traktujcie mnie, proszę, jako parlamentarza.

— Tem-ci lepiej — odparł Kordecki — a to dlatego, ponieważ poselstwo byłoby bezowocnem, po tylu przemówieniach armatnich, które tłumaczą rzecz najjaśniej, a jednak nas nie przekonały.

— Ciężkie bardzo położenie nas, katolików, w wojsku szwedzkiem — westchnął Kaliński — ale co poradzić z koniecznością żelazną? Z bolem serca patrzymy na wojnę, nie mogąc pomódz swoim... Więc podwójnie miło mi znaleźć się między swoimi, wypocząć trocha, zapomnieć o klęskach kraju...

Nikt się nie odzywał, a z twarzy obecnych starosta nie mógł wyczytać, jakie słowa jego wrażenie wywarły. W przykrem się czuł po-

ożeniu; miał przemawiać za Szwedem, a nie wiedział od czego zacząć. Więc znów podjął:

— Takci! W naszej Rzeczypospolitej siła się popsuła ze śmiercią Zygmunta Augusta. Upadek widoczny, który oczy nasze widzą, serca czują...

— W tem tkwi złe — rzekł Kordecki — że synowie Rzeczypospolitej na godziwe lekarstwo dla niej zebrać się nie mogą. Ale Bóg miłosierny! Bóg wszechpotężny!

— Prawda! prawda!—potaknął skwapliwie starosta.—W Bogu jedyna ucieczka i nadzieja nasza... W Bogu, który ojczyźnie daje takich bohaterów, jak wy, wielebny księże przeorze, mężów godnych uwielbienia oraz lepszej, a nadewszystko szczęśliwszej sprawy.

(D. c. n.)



KSIĘGA CUDÓW,

doznanych za sprawą Najświętszej Panienki Częstochowskiej.

R. 1635. Jarosz Puszkarzewski, szlachcic, rycerz bitny, potykając się razu pewnego z Turczynem, naparty przez znaczną przewagę pogańskiego żołnierza, był zmuszony ratować się ucieczką. Drogę mu przeciął Dniepr, rzeka bystra i głęboka. Rzucił się wpław na koniu, dufając sile swojej i zręczności rumaka. Ale trafił na prąd tak silny, że zaczął tonąć. W ostatecznym znajdując się terminie, polecił się Najświętszej Pannie Częstochowskiej. Zaraz skutek głębokiej wiary swojej uczuł: prąd wody złagodniał, do brzegu go poniósł i pozwolił mu szczęśliwie wydostać się na grunt bezpieczny.

R. 1654. Teofila Charszewska, dręczona przez lat dwadzieścia pięć ciężką chorobą, zmierziła sobie życie i śmierci wzywała. Rozpaczającej objawiła się Najświętsza Panienka, w wizerunku częstochowskim, tryskającym wspaniałą jasnością. Od chwili tego widzenia, jakby balsam spłynął na jej duszę. Przestała rozpaczać, natomiast gorąco się modliła, błagając Najświętszej Panny o zdrowie. Dostąpiwszy łaski, niezwłocznie udała się z dziękczynieniem na Jasną-Górę, w towarzystwie małżonka.

R. 1663. Eleonora Jabłonowska, małżonka pisarza nurskiego, złożyła w kaplicy cudownego wizerunku wstęgę złotą z rubinami, oraz takie zeznanie:

„W ciężkiej i długiej niemocy tak siły straciłam, że mówić już nie mogłam, jeno na migi z ludźmi się porozumiewałam. Raz poglądając na wizerunek Panienki Częstochowskiej, nad łożem wiszący, wskazałam, żeby mi go do ręki dano. Gdy to uczyniono, całowałam go i tuliłam, myślą w sercu obiecując nawiedzić Jasną-Górę, jeśli z niemocy wyjdę. Zaraz też do zdrowia wracać zaczęłam. Ale trudno mi się było wybrać w drogę daleką, aż z Litwy, więc ślub mój w odwłokę poszedł. Zbłądziłam w tem, nieboga, bo zamiast na Jasną-Górę, trafiłam znów na drogę blizką śmierci. Już w konanie wpadłam i wtedy ujrzałam, na jawie, wizerunek Panienki Częstochowskiej, a dokoła niego zakonników w bieli. Mniemałem, że zakonnicy już na pogrzeb mój się zeszli, więc gorąco błagałam Najświętszej Panny, aby mnie raczyła do łaski Swojej przyjąć. Widzenie znikło, a jam uczuła się lepiej i jeszcze niezupełnie ozdrowiawszy, wyruszyłam na Jasną-Górę. W drodze ozdrowiałam całkiem i oto korzę się przed cudownym wizerunkiem.“

R. 1696: Jan Złocki, towarzysz pancerny, walcząc z Tatarami pod Nadwornią, dostał się w niewolę, na Budziaki. Był ten Złocki mężem pobożnym, więc znosząc jarzmo niewoli, o ratunek Najświętszą Pannę błagał. Ukazała mu się Panienka razu pewnego i poleciła uciekać. Nie zwlekając, uszedł z więzienia, a mógł to uczynić, ponieważ okowy z niego same spadły. Wróciwszy do kraju, przybył na Jasną-Górę i okowy one złożył jako świadectwo cudu.

Pod r. 1704 zapisano do akt klasztornych takie zeznanie:

— Ja, grzesznik niegodny, zeznaję ten cud, któregom doznał pod Poznaniem za sprawą Panienki Częstochowskiej, r. P. 1704 a dnia 29 września, w sam dzień Ś-go Michała. Gdy podczas bitwy ze Szwedem przyszło nam uchodzić przez rzekę Wartę, a na największym odmęcie 19 trupów zostało i pode mną konia zabito, będąc obciążonym należytym porządkiem żołnierskim, na tak okrutnej głębi, nie mogłem się cale ratować, bo przez tłum koni pod ich kopyta wtratowany zostałem, straciwszy nadzieję, nie straciłem pamięci, oddawałem się Bogu, ducha mego Jemu polecając. Nagle przyszła mi na myśl Panienka Częstochowska, a przed oczyma memi Jej wizerunek cudowny mi zabłysł. Posiadając również Jej wizerunek przy sobie, na blasze malowany, tuliłem go do piersi, wzywając pomocy tej Przenajświętszej Pani. Za Jej łaską, sam nie wiem, co mi się do rąk podało, dość, że mając zamulone piaskiem uszy, wybiłem się na wierzch i uchwyciłem się korzenia wierzby, dalekiej od brzegu. Tam znów stanąłem na celu nieprzyjacielowi, ale Panienka obroniła mnie od szwanku gęsto tuż około mnie przelatujących kul i dopóty cudowną zasłaniała tarczą, dopóki nie zostałem przez towarzyszów na brzeg wyciągnięty szczęśliwie. Małe je-

no od kopyt końskich razy odniósłszy w głowę, ocalałem, za co Najświętszej Pannie niech wieczna cześć, chwała i podzięka będzie, a ja cud ten, dopóki żyję, nie przestanę głosić nigdy. Na co się ręką własną podpisuję: *Franciszek z Tworzyanek Tworzyański.*

R. 1709. Barbara Tyburcya z Pacanowa, dotknięta zarazą morową, zdawało się, że już umarła. Blizcy piórko do jej ust przykładali, żeby się przekonać, zali tchnie jeszcze cokolwiek. Ona zaś wtedy właśnie widzenie miała. Ukazała jej się Najświętsza Panna Częstochowska i zapytała — czy śpi? Nie mogła odpowiedzieć Barbara. Dopiero po raz drugi i trzeci zapytana, odparła, iż nie śpi. Najświętsza Panna, wziąwszy ją za rękę, zaprowadziła w miejsce, z którego się rozchodziły trzy drogi: jedna bogatemi szpalerami usłana, droga rozlicznem upstrzona kwieciem, trzecia ciasna i ciernista. Zapytała Najświętsza Panna:

— Którą z tych dróg sobie obierasz?

Barbara pomnąc, iż wszelkie wygody tego świata złudne są i znikome, wybrała drogę ciernistą. Widzenie zniknęło, Barbara odzyskała przytomność i rychle wyszła z choroby.

R. 1712 do akt klasztornych zeznał ks. Ignacy Stacherowski:

„Ja, przed Bogiem, Stwórcą nieba i ziemi, wyznawam, że zostając u Szwedów w niewoli pod Toruniem, gdy mnie w więzieniu głodem, niewczasem, urąganiem gnębili, wpadłem był w chorobę ciężką, przecież zwykłego nabożeństwa do Najświętszej Panny, ilem mógł, nie przestawałem. Nocy tedy jednej, odprawiającemu Różaniec, ukazała się Najświętsza Panna w postaci obrazu częstochowskiego, w otwartem niebie i jasności. Zaraz uczułem pociechę i pomoc w cierpieniu mojem, widząc oczywiście, że Pan Bóg i Najświętsza Panna ze mną. Odtąd znośna mi była niewola, a zostawałem w niej przez lat dziesięć, wożony po morzu i innych niebezpiecznych miejscach. Wreszcie w Maryistadzie chorując ciężko, gdziem już w siłach i mowie ustał, skoro myślą w sercu wzywałem Najświętszej Panny, tegoż momentu mowa i zdrowie wróciły się, a potem wolnością darowany byłem. Co z najpokorniejszem dziękczynieniem wyznaję za cud i wielbię Najświętszą Pannę Częstochowską, której, jako jedynej po Bogu Ucieczce niewolników, to wszystko przypisuję i sam się z dalszym życia losem zapisuję na Jasnej-Górze, 15 grudnia 1712 r. *Ignacy Stacherowski, kapłan.*“

R. 1714. Tomasz Ruciński, szlachcic, w bitwie przez Tatarów pojmany, potem Turkom zaprzedany w niewolę, został zawleczony aż na morze Czerwone, gdzie go przeznaczono do krwawej na galerach pracy. W tem jarzmie żywot nędzny prowadząc, południa jednego, gdy dozorcy jego zasnęli, skwarem znużeni, ujrzał obraz Najświętszej Panny,

od którego głos szedł: — Uciekaj! Uciekaj! — Jednocześnie okowy z niego spadły. Chwycił tedy za wiosło, przybił galerą do lądu i umknął szczęśliwie do kraju ojczystego. Cudownie wolność odzyskawszy, złożył nasamprzód dzięki Panience na Jasnej-Górze.

Tegoż roku pisarz jeden żup wielickich zeznał do akt klasztornych, iż w różnych przytrafunkach fortuny, zdrowia i życia się znajdując, zawsze widywał obraz Najświętszej Panny we śnie, a na jawie łaski Jej doznawał. Tak r. 1712, gdy zaniewidział, modlitwy do Panienki wzrok mu przywróciły. R. 1713 został wtrącony do więzienia i na gardło skazany, nie mógł się bowiem przed zwierzchnością wyrachować z sumy 24 tysięcy złotych, z powodu zgubionych regestrów; ale i tym razem Najświętsza Panna go ocaliła.

(D. c. n.)



ŚWIĘCI PATRONOWIE I PATRONKI

opowieści religijne

zebrane przez

MICHAŁA SYNORADZKIEGO.

IV.

Wojciech, syn Sławnika, pana na Lubiczu czeskim.

II.

Opowiedzieliśmy żywot Ś-go Wojciecha wedle dawnych pisarzy kościelnych. W ostatnich czasach dziejopisom udało się uzupełnić go i wykazać, jaki wpływ wywarł Ś-ty Wojciech i męczeństwo jego na ukształtowanie dziejów naszych. Wpływ ten niezmiernie doniosłego był znaczenia. Przeto należy znaczenie to poznać, gdyż wówczas postać Wojciecha zajaśnieje blaskiem podwójnego majestatu: świętego i ziemskiego. Rozpatrzmyż się w pracach dziejopisów nowoczesnych.

Otóż, gdy Wojciech raz pierwszy Pragę opuścił i w klasztorze rzymskim przebywał, na stolicy praskiej zastępował go Wolkold, biskup miszeński. Atoli Wolkold nie dorównywał Wojciechowi. Książę czeski Bolesław, widząc, iż lud w coraz większe rozpasanie wpada, gorąco nastawał na arcybiskupa moguncкiego Willigisa, żeby starał się zapobiedz fatalnemu położeniu. Arcybiskup wyprawił do Rzymu poselstwo, ze Strachwasem i Radłem na czele. Wieźli oni ze sobą wszelkie obietnice od narodu i księcia, że będą święcie we wszystkiem słuchali biskupa

i naukami jego się powodowali. Papież zwołał synod, chcąc zdania zasięgnąć. Stanęło na tem, żeby Wojciech wrócił do swoich owieczek.

Biskup-zakonnik z żalem porzucał klasztor, lecz obowiązek kazał mu poświęcić własną spokojność. Chcąc jednak mieć pamiątkę życia zakonego, zabrał z sobą z Rzymu dwunastu braci z różnych klasztorów. Kiedy się do Pragi zbliżył, książę i lud wyszli naprzeciw, witali go z wielką radością, przysięgali poprawę życia. Zdawało się, że wszystko dawne zostało zapomniane, że teraz Wojciechowi duszpasterstwo będzie szło pomyślnie. Ulegając żądaniu świętego biskupa, książę Bolesław założył pierwszy klasztor męski Benedyktynów w Brzewnowie, dla zakonników z Rzymu sprowadzonych. Opatem został Radło, który przybraimię Anastazego.

Z Bolesławem szło Wojciechowi niezgorzej, lecz z ludem wciąż opornie. Biskup święty przy tępieniu szczątków pogaństwa, przy karceniu rozwiązłości obyczajów, napotykał niechęć. Oburzano się na niełgo, a oburzenie wzrastało. Na nieszczęście, książę Bolesław zachorzał i władzę powierzył na czas jakiś synowi, Bolesławowi Rudemu, serdecznemu przyjacielowi Werszowców. Wtedy właśnie pochwycono na przeniewierstwie żonę jednego z Werszowców. Według dawnego prawa czeskiego, mąż mógł jej za to śmierć zadać. Niewiasta żałowała za grzech, przyrzekała pokutę i w tym celu udała się pod opiekę Wojciecha. Istniał już w Pradze klasztor mniszek, przy kościele Ś-go Jerzego, przeto Wojciech, dla ocalenia duszy zbłąkanej, zamknął grzesznicę w tym klasztorze. Werszowcom zdało się, że biskup, powodowany nienawiścią rodową, na złość im to uczynił. Więc zgromadzili tłum niechętnego dla biskupa ludu, który na dom pasterza uderzył. Ciemna ta tłuszcza nie mogła zrozumieć — jak Wojciech, gromiciel występków, mógł osłaniać grzesznicę. Była północ, Wojciech jeszcze trwał na modlitwie. Gdy tłum dom jego obległ, wyszedł bezbronny i rzekł:

— Jeżeli mnie szukacie, oto jestem!

Na to zakrzyknął któryś z zuchwalców:

— Napróżno nadzieją męczeństwa się uwodzisz, nie stanie się według twej woli. Stanie się co innego, co ciebie rownież zaboli. Wiedz, że jeżeli nam wszetecznicy natychmiast nie wydasz, to zemścimy się na braciach twoich, których mamy w ręku, na ich rodzinach i majątkach.

Wśród tych pogróżek, złotem przekupiony zdrajca wprowadził kilku Werszowców do klasztoru. Nieszczęśliwa pokutnica schroniła się do kościoła, lecz i to ją nie ochroniło. Małżonek odnalazł ją i kazał jednemu ze służebnych śmierć jej zadać. Jakoż krew zbroczyła świątynię: — niewiasta została zamordowana na stopniach ołtarza.

Pomiędzy Werszowcami a Sławnikami rozpoczęła się jawna wojna. Wojciech, lękając się nieszczęsnych jej skutków, powtórnie opuścił Pragę i czemprędzej, konno, popędził do Rzymu. Napróżno opat Radło-Anastazy chciał go zatrzymać w Czechach, postanowienie Wojciecha było niezłomne, biskupstwo stało się dla niego jarzmem nie do zniesienia. W Rzymie zakonnicy powitali go i przeorem swoim obwołali.

Te smutne wypadki miały doniosłe znaczenie dla Polski, a to z powodów następujących: Podczas gdy Wojciech przebywał w Rzymie, gdzie się też znalazł i Radim, pięciu jego braci starszych zamieszkiwało w grodzie ojcowskim Lubiczu, położonym, jak wyżej mówiliśmy, na pograniczu Polski. Sławnikowie z Polakami zawsze byli w serdecznych stosunkach. Trzymali się bracia Wojciecha kupy, bo razem będąc, łacniej się mogli bronić przeciwko Werszowcom, którzy grozili im śmiercią. Szczęściem stary książę czeski Bolesław, dzięki zabiegom medyka swego, Fluddaga, mnicha z Korbei, przyszedł do zdrowia i poskromił nieco Werszowców. Syna swego, Bolesława Rudego, który tę wieść rozżarzał, wysłał z rycerstwem na pomoc cesarzowi Ottonowi III.

Pociągnął na tę wyprawę Sobibor, głowa rodziny Sławników, zamierzając przy sposobności prosić cesarza Ottona o skuteczną opiekę na przyszłość przeciwko Werszowcom. Przypadek zdarzył, że zastał przy cesarzu Bolesława Chrobrego, władcę Polski. Chrobry ujął się za krzywdę Sławników, gorąco za nimi wstawiał się do cesarza. Powodowała nim nietylko życzliwość dla tego zacnego rodu, ale nadto względy polityczne. Chrobry bowiem potrzebował stronników, wśród plemion pobratymczych, a Sławnikowie, oprócz w danym razie zbrojnego poparcia, inną jeszcze korzyść przynieść mu mogli. Kraj pomorski nad Wisłą już w znacznej części ulegał władzy Chrobrego, lecz wówczas niedość było podbić jaki kraj pogański — trzeba go było jeszcze nawrócić, wcielić w braterstwo chrześcijańskie, dopiero wtedy zyskiwało się pewność, że się ten kraj posiada. Otóż Chrobry szukał apostoła i misyonarzów dla Pomorza. Wiedział, że Wojciech, zrażony przez rodaków, do biskupstwa swego powrócić nie zechce, postanowił go ściągnąć do Polski, wskazując mu możność zyskania zasług apostolskich w krainach pogańskich, na Pomorzu. Dlatego zawarł ścisłą przyjaźń z Sobieborem, dlatego zatrzymał go u siebie i ziemiami obdarzył.

Werszowcom, oczywiście, nie podobały się stosunki Sobiebora z cesarzem i Chrobrym, zaczęli Sławników nazywać zdrajcami. Wkrótce wojna między dwoma temi rodami wybuchła z całą siłą. Werszowcy zagarniali Sławnikom dobra jedne po drugich, w końcu oblegli ich w Lubiczu, a zdobywszy ten gród podstępnie, wymordowali ich bez miłosierdzia. Sobiebor, który pozostawał przy boku Chrobrego, ocalał.

Dowiedziawszy się, co spotkało braci jego w Lubiczu, już ani myślał wracać do Czech, nie ruszał się z Polski, oraz czynił starania, aby do Polski sprowadzić z Rzymu Wojciecha i Radima.

Tymczasem po wyjeździe Wojciecha z Pragi, Kościołowi w Czechach groził upadek. Arcybiskup Moguncyi, który był metropolitą Czech, widząc to, domagał się powrotu Wojciecha do Pragi. Ponieważ właśnie wtedy udawał się do Rzymu, na koronacyę, cesarz Otto III, przeto arcybiskup Moguncyi zobowiązał cesarza, aby poparł żądanie jego u Papieża. A rządził wtedy Stolicą Apostolską Grzegorz V.

Papież przychylił się do prośby arcybiskupa Moguncyi i cesarza, kazał Wojciechowi wrócić do Pragi. Daremnie wymawiał się Wojciech, błagania jego to jedynie wskórały, że Papież pozwolił mu, w razie nowych nieporozumień z narodem czeskim, udać się do krain pogańskich z apostolstwem. Na wszelki wypadek mianował go Grzegorz V arcybiskupem krain pogańskich.

Po koronacyi cesarza (odbyła się ta uroczystość 21 maja 996 r.), opuścił Wojciech Rzym i udał się, w orszaku cesarskim, do Niemiec. Do Pragi się nie spieszył, miarkował z daleka, co się tam dzieje. Czas jakiś bawił z Ottonem w Moguncyi, tam we dnie nauczał dostojników cesarskich dworzan i samego cesarza, a kiedy się wszyscy na spoczynek pokładli, czyścił obuwie najlichszym służebnikom dworskim. Z cesarzem prowadził poważne rozmowy. Opowiadał mu Otto o spólnych swoich wyprawach wojennych z Bolesławem Chrobrym, często nadmieniał o konieczności nawrócenia narodów północnych. Wojciecha, gdy słuchał tych opowieści i dowodzeń cesarza, ogarniało coraz większe pragnienie apostolstwa wśród pogan.

Z Moguncyi odbywał biskup święty często pielgrzymki pobożne. Odwiedzał razy kilka francuskie miejsca, cudami słynące, więc Tours, gdzie się znajdował grobowiec Ś-go Marcina, więc grobowiec Ś-go Dyonizego w Paryżu, Ś-go Benedykta w Fleury, Ś-go Maura i inne. W końcu zdecydował się wrócić do Czech. Lecz inaczej los zrządził. Już się był pożegnał z cesarzem, gdy go wieść doszła o wymordowaniu Sławników w Lubiczu. Zatem nie do Czech, lecz do Polski się udał, kędy przebywał brat jego Sobiebor, przy boku Bolesława Chrobrego, opiekuna Sławników.

Pragnienia Chrobrego spełniały się — z radością, z wielką okazałością przyjął Wojciecha; i zaraz mu nadmienił, iż czeka go na Pomorzu pole zasług apostolskich. Gotów był biskup święty iść za natchnieniem serca, pragnął również wywdzięczyć się Chrobremu, bo też wielką czcią go otaczano w Polsce. Ale wierny obowiązkom, usiłował przedtem pojednać się z prażanami. W tym celu wysłał do nich gońca z zapytaniem: zali chcą go mieć biskupem. Odpowiedzieli prażanie:

— Wiemy, co zamyślasz. Nie chcemy ciebie, bobyś mścił się na nas za śmierć braci swoich.

Odpowiedź ta zgadzała się z gorącem pragnieniem Wojciecha i Chrobrego. Biskup święty, odebrawszy ją, zawołał z rozradowaniem:

— Boże, dzięki Ci! Przerwałeś więzy moje, wybawiłeś mnie od niebezpieczeństwa. Jestem rozwiązany, mam ręce wolne! Owi, którzy mnie dwukrotnie do ucieczki zniewolili, dziś mówią jawnie: „Nie chcemy ciebie!“

Tak oto Sobiebor, rycerz już nie czeski, lecz polski, pociągnął za sobą Wojciecha i Radima, ostatnich potomków rodziny sławnej i niegdyś potężnej. Skutki tego będą olbrzymie, bo niebawem zacznie się pierwsze apostolstwo Polski, przeleje się na ziemi naszej pierwsza krew męczeńska, za której pomocą, niby za pomocą perły drogocennej, wkupi się Bolesław Chrobry ze swoim narodem do wielkiej rodziny chrześcijańskiej już nie jako nowonawróceniec, ale jako szerzyciel dobrodziejstw Kościoła. Polska, niedawno sama nawrócona, zrozumiała odrazu wysokie swoje posłannictwo, że ma szerzyć światło i nowe dzieje, wzięła krzyż w rękę, żeby go obnosić narodom.

Spotkanie się Wojciecha z Bolesławem Chrobrym musiało nastąpić gdzieś w stronach chrobackich pod Karpatami, bo podania ludu tamtejszego po dziś dzień mówią o świętym biskupie. Przygotowując się do wyprawy apostolskiej, Wojciech przez całą zimę bawił w Chrobacyi, bo tam znalazł dużo pracy. Utwierdzał łaciński obrządek, bo słowiański był tam powszechnym, panującym; z tego widzimy, że posłannictwo Wojciecha do narodu polskiego było różnorodne: miał tępić pogaństwo, braci słowiańskiego nabożeństwa zwracać ku Kościołowi rzymskiemu, wreszcie utwierdzać w wierze braci nabożeństwa łacińskiego. Cudowne, tak wówczas potrzebne ludom polskim posłannictwo. To też Chrobry czcił i kochał wielce Wojciecha, najwierniej słuchał jego przykazań. Rozmyślał długo Wojciech — dokąd się ma udać: czy do Lutyczów, za Odrę? czy do Prusów i Pomorzan? Oczywiście, Bolesław Chrobry skłaniał myśl jego do krajów nad ujściem Wisły, gdyż nawróciwszy one, mógł je pod swojem panowaniem utrzymać. Wojciech przez wdzięczność usłuchał Bolesława, większe też żniwo na ziemi dziewiczej, w Prusach i na Pomorzu go czekało. Z wiosną tedy r. 997, dobrawszy sobie dwóch towarzyszów, nieodstępnego Radima i księdza Benedykta, szedł z Chrobacyi ku Gnieznu, stolicy wówczas Polski. W drodze, miewał po wsiach i większych osadach, które spotykał, długie nauki w języku zrozumiałym, bo wtenczas mowa polska niczem pewnie od czeskiej się nie różniła. Wtedy to ułożył pieśń świętą: „Bogarodzico Dziewico! Bogiem sławiona Maryo!“, pieśń, która się narodo-

wą stała. Dzięki świętemu mężowi, pierwsza poezya polska była natchnioną modlitwą.

Zbiegał się lud tłumnie na drogach, po których Wojciech przechodził; jego nauki i szaty zakonne wielkie sprawiały wrażenie. Wreszcie stanął w Gnieźnie, skąd dopiero miał ruszyć na apostolstwo. „Wielkie to było miasto w owej części Polski — opowiada świadek spółczesny. — Tam, czego już dawno nie czynił, Wojciech odprawił Mszę Ś-tą. Rychle Chrystusową sam zostać mając ofiarą, dopełnił Ofiarę Pańską. Ochrzcił też bardzo wiele ludu.“ Te słowa dowodzą, że w Polsce przymusu religijnego nie było przedtem, ani potem; że Polska dobrowolnie się chrzciła; że Wojciech ścierał z naszej ziemi ostatki pogaństwa.

(D. c. n.)



Drogą Świętych Męczenników wśród pogan.

Dla umocnienia Twego, Czytelniku, podajemy te pełne prawdy, wielkie i święte przykłady stałości i bohaterstwa chrześcijańskiego. Czytaj, rozważaj i wznoś serce do Boga, źródła wszelkiego dobra i szczęścia.

Japonia.

Japonia leży na samym krańcu Azyi, naprzeciwko Chin, składa się z różnych wysp, tworzących jakoby jedną całość. Pełno tam gór, sięgających obłoków; klimat przeważnie ostry i zimny, a gleba wogóle niedość urodzajna, zawiera jednak w swem łonie kopalnie złota i srebra.

Dawnemi czasy Japonia była monarchią teokratyczną. Cesarz, któremu wszystkie wyspy były podległe, nazywał się Dairi i wywodził pochodzenie swoje od komisów, którzy, wedle podań ludowych, byli w prostej linii potomkami słońca. Z początku rządził samowładnie, następnie miał przyboczną radę, której członkowie tworzyli naczelną władzę kapłańską. Pierwszym cesarskim urzędnikiem był tak zwany Kubo, to jest głównodowodzący wojskiem. Dla podniesienia tak wielkiej i zaszczytnej godności dodano mu jeszcze z czasem tytuł Sama, co znaczy pan, i stąd dowódca wojska japońskiego nazywał się Kubo-Sama.

Z końcem XIII stulecia pewien Kubo-Sama, widząc, że berło Japonii spoczywa w niegodnych rękach niewieściucha Dairi, podniósł prze-



Japonia. Kościół Najświętszego Serca Jezusowego w Jokochamie, poświęcony w roku 1861.

ciwko niemu bunt i przywłaszczył sobie władzę monarszą. Chciał on opanować całe państwo, lecz poddały mu się tylko Meako, gdzie cesarz utrzymywał swój dwór, i niektóre zależne od niego prowincye. Inne prowincye, zbrojny stawiając opór, nie chciały przyjąć narzuconego jarzma, tak dalece, że naraz całe państwo rozpadło się na 66 części, z których każda przybrała nazwę królestwa i miała swego króla.



Wizerunek medalionu bronzowego, przedstawiającego Niepokalane Poczęcie Najświętszej Maryi Panny, przechowywanego w niektórych domach chrześcijańskich w Japonii. Są to zabytki religijne z roku 1596.

Stąd wywiązała się następnie wojna domowa 60 lat trwająca, podczas której popłynęły krwi strumienie, gdy jedni z królów bronili praw cesarza Dairi, zwanego także Mikado, a drudzy trzymali się Kubo-Samy. Wreszcie, za pomocą Chin, utrzymał się przy władzy król Meaku, przezwany Seogun (Sziogun), który cesarzowi ogołoconemu z królestwa, zachował jednak tytuł Mikady, a nawet ze względu na to, że w nim pły-

nęła krew kamisów, wielkich bogów japońskich, przyznał także wszelkie honory i przywileje królewskie, które przeszły potem i na jego potomków. Japonia zostawała odtąd w stosunku lenniczym do Chin, aż do schyłku XVI wieku, gdy cesarz Tajkozama zrzucił z siebie to jarzmo; poczem nieograniczona władza przeszła na Seogunów, a Mikado jedynie już tylko swój tytuł cesarski zachował.

Stan taki trwał aż do naszych czasów. Dopiero bowiem w r. 1867 udało się Mikadzie odzyskać swą władzę usunięciem Seoguna.

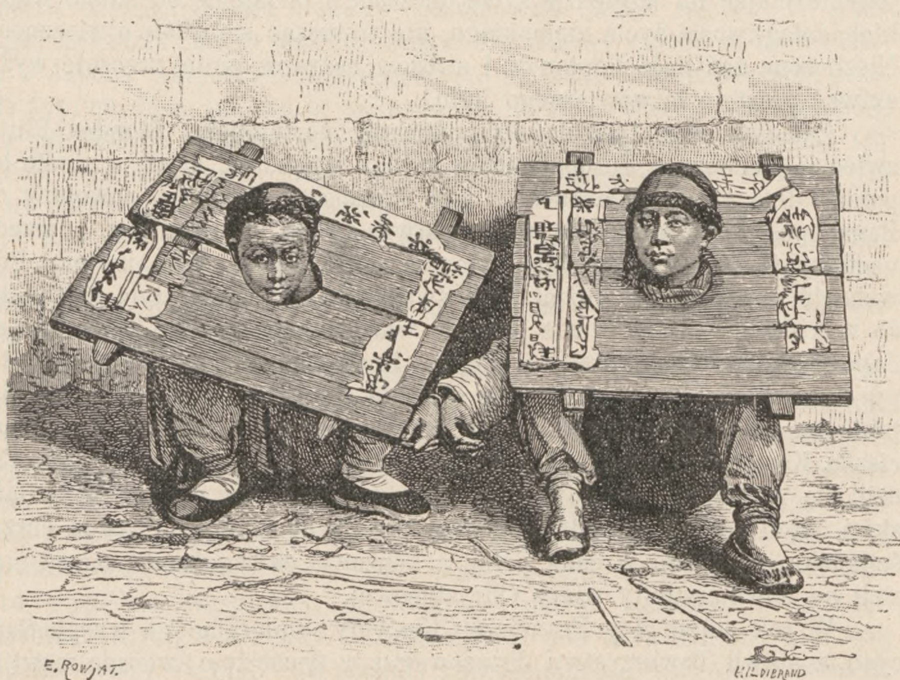
Według obliczeń geografów liczy Japonia 50 milionów mieszkańców. Naród tak wielki, z natury ruchliwy, nie mógł pozostać nieczynnym, żyjąc w strefie niedość łagodnej, aby powstrzymać ludzki popęd do pracy, ani też zbyt ostrej, aby do pracy zniechęcić. Jakoż usilność kilku wieków dokonała tu dzieł sztuki i przemysłu, jakie znamionują cywilizacyę europejską. Są tu miasta, liczące po kilkaset tysięcy mieszkańców, są porty wspaniałe, są wygodne drogi, mosty i kanały, ułatwiające ruch handlowy, są budowle okazałe i wyroby sztuki, które Europa podziwia. Porcelana i jedwabnicwo japońskie nie ustępuje najokazalszym tego rodzaju wytworom. Są tu i miny złota, srebra i miedzi, w których, od trzech wieków przeszło, w umiejętny sposób, dobywa się i oczyszcza kruszec, jak w Dozan i Kosaka Ginzan. Japończycy nie podzielają wstrętu Chińczyków do obcych wynalazków. Zbudowali też liczne koleje żelazne, a inne jeszcze budują; mają też tramwaje parowe i różne maszyny europejskie. Sztuka drukarska jest tam już od sześciu wieków w użyciu, i wydaje rocznie blizko 10,000 różnych publikacyj. — Istnieją tam szkoły kwitnące, a obok nich liczni miłośnicy nauk skrzętnie pracują w rozmaitym kierunku; mają też Japończycy swoją historyę, swoją filozofię, swoją poezyę, mają liczne biblioteki, mają i teatra po wszystkich większych miastach. Wogóle pod względem naukowym i przemysłowym przewyższyli o wiele Chiny, od których pierwotnie wzięli alfabet i pierwsze wzory literatury i przemysłu.

A jednak mimo całego tego blasku, jest Japonia żywym, bijącym w oczy dowodem, że materyalna pomyślność, że nawet świetność naukowa i gienialne dzieła nie stanowią szczęścia narodu, jeśli mu nie przyświeca prawdziwa religia, jeśli nie wpływa na jego życie sprawiedliwość chrześcijańska, które jedynie zdołają hamować wybryki rozumu i serca.

Co się tyczy religii, przed przybyciem misyonarzy bałwochwalstwo było powszechnem w Japonii. — Oprócz ateuszów, nieuznających żadnego bóstwa, a utrzymujących, że dusza razem z ciałem umiera, jedni czcili słońce i księżyc, inni fotoków, czyli bogów chińskich, inni znowu oddawali cześć niektórym zwierzętom, a byli i tacy, co czcili dyabła,

jako przyczynę wszystkich nieszczęść i ofiary mu składali, aby go nieszkodliwym uczynić.

Mieli też pewne tajemnicze bóstwo, które zwali Amida, mówiąc o niem, że stworzyło raj, lecz tak daleko od ziemi, że dusze potrzebują trzech lat czasu, aby do niego się dostać. Najdziwniejsze jednak rzeczy opowiadali o bożku Xaka. Miał on się narodzić z dziewicy królo-



Młodzi Japończycy chrześcijanie w r. 1603 skazani na męki i śmierć, w okolicach wyspy Sanganu.

wej, i schronić się w pustynię Syamu, aby tam ostrym żywotem odpokutować za grzechy ludzkie. Wyszedłszy ze samotności, miał zgromadzić uczniów i w różnych krajach wykładać naukę boską. Trudno sobie wyobrazić, ile świątyń wystawiono na cześć Amida i Xaka; pełno ich po wszystkich miastach i to nadzwyczaj okazałych; jeszcze trudniej wyobrazić sobie ten dziki fanatyzm, z jakim czciciele obu tych bóstw strącali się ze skał lub żywcem zagrzebywali się w jaskiniach podziemnych, a często spotykano łodzie, pełne kobiet i mężczyzn, którzy z uwiązanemi kamieniami u szyi, śpiewając pieśni na cześć tych bogów, płynęli, aby się pogrążyć w głębokościach morskich.

Dziś przeważnie dzielą się Japończycy pod względem religijnym na syntoistów, to jest czcicieli kamisów, czyli opiekuńczych duchów ojczystych, i na budaistów, czyli zwolenników sekty filozoficznej z Indyj, a bezpośrednio z Chin przybyłej, gubiącej się w mglistych pojęciach o szczęściu człowieka, mającem się zasadzać na zniweczeniu jego istoty. Zwolennicy obu tych wyznań potworzyli sobie mnóstwo bożyszcz najdziwaczniejszych, które starają się przejednać sobie różnemi ofiarami, jedynie mając na względzie życie doczesne i oddalenie od siebie wszelkich dolegliwości życia ziemskiego, nie troszcząc się wcale o wieczność. Niezliczona zaś ilość kapłanów i stróżów bożyszcz umie zręcznie wyzyskiwać prostotę łatwowiernego ludu.

Zaledwie w r. 1542 śmiały podróżnik portugalski, Mendez Pinto, zwiedził pierwszy z Europejczyków wyspy japońskie, a już w siedm lat potem, dnia 15 sierpnia 1549 r., ś-ty Franciszek Ksawery, powołany od Boga apostoł, wylądował w towarzystwie dwóch zakonników i trzech neofitów w zatoce Kagoszima. Gorące słowa jego i cuda, jakiemi Bóg wsławić raczył przed ludźmi jego świętobliwość życia, tyle dokazały, że w krótkim bardzo czasie przyjęło wiarę chrześcijańską kilka tysięcy Japończyków różnego stanu i wieku. Bonzowie, widząc znaczne postępy chrześcijaństwa, a lękając się o swoje znaczenie i mnogie dochody, jakie im dotąd zapewniały daniny uległego im ludu, wezwali ś-go Franciszka Ksawerego na dysputę religijną wobec króla krainy Bungo. Sądzili, że wywodami naukowemi zdołają wykazać fałsz nauki chrześcijańskiej. Atoli środek ten odniósł wręcz przeciwny skutek. Prawda chrześcijańska zajaśniała w całej pełni, a bonzowie zawstydzeni patrzeć musieli na nowe tryumfy wiary Chrystusowej.

W rok potem ś-ty Franciszek Ksawery, umierając na wyspie Sancyan, zostawił Towarzystwu Jezusowemu w spuściźnie świetnie rozwijającą się misyę japońską. Po trzydziestu latach (1582) liczyła już ta misya 200 tysięcy wiernych i posiadała 250 kościołów. Trzech japońskich królów przyjęło chrzest święty. Ci przykładali się gorliwie do nawrócenia wszystkich swoich poddanych, a w r. 1585 wyprawili poselstwo do papieża Grzegorza XIII z wyrazem synowskiej uległości dla Stolicy świętej.

Były to jednak ostatnie blaski religijnej wolności. Wkrótce potem zmieniło się zupełnie położenie. Wstąpienie na tron Tajkozamy, który wskutek politycznych przewrotów dostał się do władzy, dało hasło do prześladowań religijnych. Bonzowie, nienawidząc chrześcijan, zdołali wyrobić w cesarzu to przekonanie, że misyonarze są szpiegami portugalskimi, i że po to tylko przyszli do Japonii, aby potajemnie obmyśleć środki do zawojowania jego kraju. Odtąd rozpoczęło się krwawe prześladowanie chrześcijan japońskich.

Krew męczenników wydała, jak to zwykle bywa, obfite owoce. W jednym bowiem roku 1599, nawróciło się do wiary świętej przeszło 70,000 Japończyków, z których 25,000 pochodziło z kraju Bungo, rządzonego naonczas przez króla chrześcijańskiego. Nowi misyonarze przybywali ciągle do Japonii, tak z Towarzystwa Jezusowego, jak z zakonu ś-go Franciszka, a w r. 1601 przyłączyli się do nich także i OO. Dominikanie. Dzieło nawrócenia, mimo wszelkich surowości, wymierzonych przeciw chrześcijaństwu środków, postępowało bardzo raźnie. W przeciągu szesnastu lat, to jest od śmierci Tajkozamy (1598), aż do wydalenia z Japonii wszystkich misyonarzy (1614), sami Jezuici ochrzcili przeszło 104,000 dusz, jak się to pokazało z wykazu metryk chrzestnych, a w pierwszych trzech latach najsroższego prześladowania ochrzcili ich 15,000, chociaż srogość mąk, zadawanych mączennikom, mogła była łatwo zachwiać odwagę katechumenów.

W r. 1605, kiedy już liczba wiernych urosła do 118,000, wyznawanie wiary Chrystusowej stało się już jawnem samą siłą wypadków, a biskup Ludwik Jerqueyra odbywał publicznie pasterskie wizyty pośród chrześcijańskich osad.

Ale wkrótce nastąpiło prześladowanie powszechne, najsrtaszniejsze może ze wszystkich, jakie kiedykolwiek i gdziekolwiek istniało. Wywołała je zawiść Holendrów (1609) i Anglików (1612), zawziętych nieprzyjaciół Kościoła katolickiego. Trzeba także przyznać, że i nikczemna zazdrość między Portugalią a Hiszpanią i ich wygórowana chciwość zysków handlowych przyczyniły się także niemało do wydania wyroku, mocą którego Kubo-Sama, następca Tajkozamy, nakazał w roku 1614 wypędzić wszystkich misyonarzy, tudzież zniszczyć i zrównać z ziemią wszystkie kościoły. Chrześcijanie, pod karą śmierci, mieli się wyprzeć wiary świętej. Te rodziny chrześcijańskie, których z powodu ich rodu lub znaczenia nie śmiano karać śmiercią, wygnano w północne okolice Japonii lub wywieziono na wyspy Filipińskie; co do innych chrześcijan, spodziewał się cesarz, że nędza i opuszenie skłoni ich prędko do poddania się. Śmierć (1615) przerwała mu wykonanie powziętych zamiarów, ale podjął je z równą zawziętością godny jego następca i syn, Szogun-Sama, który w następnym roku ponowił srogi wyrok i rozpoczął dzieło prześladowania w najsurowszy sposób.

Misyonarze, których rząd szczególnie nienawidził, stali się przedmiotem starannych poszukiwań; szukano ich wszędzie z niestrudzoną wytrwałością, a schwytanych skazywano na najokrutniejsze tortury i śmierć.

Dnia 22 maja 1617 r. ścięto w Omurze Piotra od Wniebowstąpienia, Franciszkanina hiszpańskiego, i Jana Machada, Jezuitę, Portugalczyka, a w parę dni później, 1 czerwca, Alfonsa Navarette, prowincya-

ła OO. Dominikanów, i Ferdynanda od ś-go Józefa. reguły ś-go Augustyna. Ciała wszystkich tych czterech męczenników, przedstawicieli czterech zgromadzeń zakonnych, zjednoczonych w pracy apostolskiej, wrzucono razem do morza. Stolica święta w r. 1868 policzyła ich w poczet błogosławionych.

Holenderscy protestanci łączyli się często z poganami w prześladowaniu wiernych. Oni to schwycili i wydali w ręce króla w r. 1620 mały statek chrześcijański, płynący z Manilli. Cała załoga okrętowa, składająca się z trzech kapłanów i trzynastu ludzi świeckich, została po dwuletniem więzieniu stracona.

Mimo zaciętości prześladowców, dzieło zagłady chrześcijan postępowało powoli. Chrześcijanie ukrywali się starannie po lasach i lochach podziemnych.

Rząd japoński po roku 1640 pochlebiał sobie, że już wytępił do szczętu w Japonii chrześcijaństwo. Niepodobna mu jednak było nie uznać boskiego pierwiastku tej wiary, którą pierwszy jej apostoł jawnemi stwierdził cudami, a która w przeciągu pół wieku wydała krocie tysięcy męczenników, z radością na śmierć idących. Ci bohaterowie chrześcijańscy, należący do różnych klas społeczeństwa, począwszy od rodów książęcych aż do najniższych warstw ludności, byli prawdziwymi przedstawicielami narodu japońskiego. Nie naród więc, ale zawistni bonzowie i podejrzliwi, a w rozpuście pogrążeni cesarze, znieśli chrześcijaństwo w Japonii. Lud nie był temu winien; więc też Pan Bóg w miłosierdziu swojem uwolnił kraj jego od przekleństwa, jakie zwykle dotyka odszczepieńców. Cudem jego łaski, pomimo zupełnego opuszczenia, przeszło dwa wieki trwającego, utrzymali się tam chrześcijanie, i kryjąc się przed prześladowcami, chrzcili dzieci swoje potajemnie, jak mogli i umieli, uczyli je katechizmu, a tak w religii Chrystusa wytrwali aż do onej chwili, kiedy misyonarze znowu zdołali przedrzeć się do nich, aby ich pokrzepić na duchu i w wierze świętej utwierdzić.

Z tego okresu czasu przytaczamy wzruszający opis męczeństwa za wiarę świętą dwóch rodzin japońskich.

Było to w r. 1603. Prowincyą Higo rządził wówczas książę Kato-Kijomasa, który założył swą rezydencyę w mieście Kumamoto. Na terytoryum jego leżało również między innemi, chrześcijańskie miasto Jatsusziro.

Pewnego razu, książę pragnąc tam wykorzenić świętą naszą wiarę, rozkazał gubernatorowi imieniem Kakuzajemon wezwać do przysłanego przez siebie bonzy wybitniejszych chrześcijańskich obywateli i zmusić ich do przyjęcia buddyjskiej księgi *Hokkekijo*, na znak, że

wierzą w to, co się w niej zawiera. Tych, którzyby nie usłuchali powyższego rozkazu, oczekiwała kara śmierci.

Pomiędzy obywatelami chrześcijańskimi znajdowało się dwóch najbardziej wpływowych i najlepszą cieszących się opinią. Jeden z nich nazywał się Jan Minami, drugi Szymon Taketa.

Szymon był to chrześcijanin wzorowy w całem tego słowa znaczeniu. Przed dziewięciu laty po przyjęciu Chrztu świętego poznał on tak



Bonza, czyli kapłan japoński.

gruntownie prawdy religijne i przejął się tak głęboko zasadami chrześcijańskiej nauki, że w rodzinnej okolicy uważano go powszechnie za nieporównany wzór najpiękniejszych cnót i przymiotów.

Gubernator, który był serdecznym jego przyjacielem, czynił wszystko co mógł, aby nakłonić Szymona do uległości rozkazom księcia i zaproponował środki, z których każdy z osobna mógł ocalić mu życie. Pierwszym z nich było przyjęcie tej księgi w jego imieniu przez jakie-

gokolwiek innego człowieka. Drugi polegał na tem, aby bonza przybył w nocy do niego, lub do któregokolwiek z miejscowych dygnitarzy i dopełnił w tajemnicy całej tej ceremonii. Trzeci środek stanowić miało to, aby sam Szymon udał się do bonza i złożył mu w ofierze, jaki kosztowny podarunek, nie mówiąc nic o religii.

Niektórzy chrześcijanie mniemali, że ostatni ten środek nie zawierał nic zgoła przeciwnego prawu Bożemu, i że można go użyć ze spokojnem sumieniem. Szymon wszakże bynajmniej nie podzielał ich zdania, mówiąc, że wszelki objaw uległości, okazany Kato-Kijomasie byłby występny i zbrodniczy, ponieważ książę ten dążył jedynie do podkopania chrześcijaństwa, aby go zastąpić religią bonzów.

Co do Jana, ten taką samą okazał niezłomność i ujrzawszy posłańców sędziego, rzekł:

— Gdybyście mi nawet wydarli paznogcie z palców u rąk i nóg, lub poćwiertowali mię na tysiąc części, zaczynając od nóg, a kończąc na głowie, to i wówczas nawet możecie być pewni, że się nie wyrzeknę swej wiary.

Wreszcie Kakuzajemon, zwątpiwszy całkowicie o tem, czy zdoła przełamać wytrwałość wiernych sług Bożych, udał się do Kumamoto, aby zawiadomić księcia o stanie rzeczy i o ile możności gniew jego uśmierzyć.

Podczas jego nieobecności, żołnierze wysłani przez jednego z wysokich urzędników, porwali Jana przemocą i zaprowadzili do bonza, ktory miał mu położyć buddyjską księgę na głowie. Za biednym więźniem szła żona jego Magdalena, wołając co jej sił starczyło:

— Pamiętaj, abyś w domu bonza nie pozwolił położyć sobie na głowie tej pogańskiej książki, gdyż w przeciwnym razie ucieknę natychmiast z twego domu, rozłączę się z tobą na zawsze i nie będę już odtąd uważała cię za swego męża.

Poczciwy Jan nie potrzebował wcale tej zachęty. Gdy pewien urzędnik imieniem Jasuda Jensuke radził mu nie ubliżać w niczem bonzie, zacny człowiek odpowiedział, że nie pozwoli nigdy, aby na nim bałwochwalcza miała spocząć księga.

Po przybyciu do domu bonzy, ten ostatni usiadł na tronie i chciał położyć *Hokkekijo* na czole Jana. Biedny człowiek skrępowany i trzymany przez siepaczy, którzy mu nie pozwalali najmniejszego wykonać ruchu, gdy chciał zaprotestować przeciw przemocy, jaką na nim wywierano, natychmiast zamknięto mu usta.

Po niejakim czasie nadszedł jeden z główniejszych służalców Kakuzajemona i sądząc, że Jan dobrowolnie udał się do bonzy, zaczął mu winszować tego postępku.



Pielgrzymka do grobu pierwszego apostoła Japonii, ś-go Franciszka Ksawerego.

— Doprawdy — zawołał wówczas nieustraszony wyznawca — jesteś chyba aniołem zesłanym z nieba, aby się przekonać i ogłosić publicznie, że nie dałem się ugiąć lub przełamać. Zaprowadzono mię przemocą do bonzy, ale ani jemu samemu, ani księdze *Hokkekijo* nie złożyłem najmniejszej oznaki szacunku. Jestem chrześcijaninem i pragnę umrzeć, jako chrześcijanin, ciebie zaś proszę, abyś zawiadomił o tem swego pana.

Rzeczywiście powyższy urzędnik nie omieszkał napisać niezwłocznie do Kakuzajemona, donosząc mu o wszystkiem, co zaszło. Ze swej strony, Jan bojąc się, aby nie ukrywano prawdy, skreślił sam list do gubernatora i dał mu wyraźnie do zrozumienia, że nic nie zdoła go skłonić do zaparcia się swej religii.

Gdy Kakuzajemon opowiedział Kato-Kijomasie o bohaterskiem postanowieniu Jana i Szymona, książę ten wpadł w prawdziwą wściekłość, oraz wydał niezwłocznie rozkaz ścięcia obu wyznawców, jak również ukrzyżowania ich rodzin.

Te ostatnie miały ponieść śmierć męczeńską w rodzinnem mieście Jatsuszyro, Jan zaś i Szymon musieli pojechać do Kumamoto dla wykonania na sobie wyroku. Pragnąc jednak oszczędzić swemu przyjacielowi Szymonowi hańby, jaka spada na skazańców traconych publicznie, gubernator rzekł do księcia:

— Jana z łatwością zdołamy schwytać, ale co do Szymona, to człowiek ten nie tak rychło wpadnie nam w ręce i drogo sprzeda swe życie, my zaś narazimy się za to na stratę wielu ludzi. Czyż nie lepiej byłoby schwytać go i ukarać śmiercią w Jatsuszyro?

Książę zgodził się na to tak, że tylko biednego Jana przywieziono do Kumamoto. Natychmiast po jego przybyciu, gubernator rzekł do więźnia:

— Posłałem po ciebie, aby ci powiedzieć, że Kato-Kijomasa rozgniewał się niezmiernie za to, żeś nie usłuchał udzielonej przezeń rady i nie spełnił jego rozkazów. Wiesz, jak serdecznie się troszczę o los twój własny i twojej rodziny. Zastanów się więc dobrze nad nieszczęściem, jakie ściągniesz na siebie i nie zmuszaj mię do tego, abym dał ci uczuć, jak daleko sięga niezadowolenie księcia. Po raz ostatni mówię z tobą o tem. Daj mi, zaklinam cię, pomyślną odpowiedź i nie każ mi obchodzić się z tobą tak, jak ze sługą zbuntowanym przeciw swemu panu.

Podziękowawszy za okazywaną sobie dobroć, Jan odrzekł z niewzruszonym spokojem:

— Gdyby chodziło tylko o moje mienie i życie, to z największą ochotą poświęciłbym je dla księcia, ale ponieważ chodzi tu o zbawienie mej duszy, wy zaś chcecie mię zmusić do wyrzeczenia się religii, oświad-

czam więc, że nie mogę uczynić tego, czego żądacie ode mnie, i że ani katusze, ani śmierć nie zdołają mię skłonić do sprzeniewierzenia się zasadom sumienia. Przynoszę wam swoją głowę, jako rękojmię postanowienia, że pozostanę zawsze chrześcijaninem.

Chociaż odpowiedź ta nie bardzo mu się podobała, Kakuzajemon wszakże zaprosił Jana na obiad, sądząc, że podczas uczty potrafi wpłynąć na zmianę jego usposobienia. Rachuba ta jednak najzupełniej go zawiodła, gdyż zacny człowiek nie dał się przekonać. Wreszcie po obiedzie gubernator rzekł do niego:

— Nie dałem ci jeszcze poznać dokładnie woli i zamiarów księcia, teraz wszakże muszę wyznać otwarcie, że jeżeli będziesz trwał dalej w swoim uporze, to nietylko sam postradasz życie, ale nawet żona twoja i dziecię ulegną temu losowi.

Słowa te nie zdziwiły bynajmniej nieustraszonego chrześcijanina, który odrzekł z uśmiechem, iż jest to najprzyjemniejsza dla niego wiadomość, ponieważ pragnie gorąco umrzeć śmiercią męczeńską, oraz nie wątpi o odwadze swej żony i syna.

Wówczas wprowadzono go do wielkiej sali i kazano u wejścia odpasać miecz, co też Jan spełnił odrazu. O kilka kroków dalej oczekiwali go trzej żołnierze, przysłani tam w celu wykonanie wyroku. Gdy skazany zatrzymał się w pośrodku sali, z po za kotary ukazali się dwaj inni żołnierze z obnażonymi mieczami w dłoniach. Ujrzawszy ich Jan, padł na kolana, pochylił głowę, poczem wymawiając głośno imiona Jezusa i Maryi, otrzymał od swych katów cztery śmiertelne ciosy. Było to dnia 7 grudnia 1603 r., w uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny.

Po śmierci Jana Minami nastąpiła egzekucya Szymona Taketa. Przed odjazdem z Jatsuszyro dla zdania sprawy księciu z tego, co się działo, Kakuzajemon dołożył wszelkich możliwych starań, aby nakłonić Szymona do posłuszeństwa względem swego władcy, gdyż jakeśmy widzieli był to najlepszy jego przyjaciel, którego życie cenił również, jak własne. W tym więc celu udał się do niego i znalazł go rozmawiającego z matką o przyszłem męczeństwie. Gdy wszedł do mieszkania przyjaciela, uczuł tak głębokie wzruszenie, że nie mogąc przemówić ani słowa, rzęsistemi zalał się łzami. Rozrzewniony tym widokiem Szymon, również się rozpłakał i przez chwil kilka dwaj przyjaciele ściskali się w milczeniu, przerywanem tylko ich jękiem i łkaniem. Wreszcie Kakuzajemon przytłumiwszy swą boleść, rzekł do matki Szymona:

— Jadę do Kumamoto dla złożenia sprawozdania księciu, gdyż mi to nakazuje obowiązek. Ponieważ syn twój nie chce usłuchać rady najlepszego przyjaciela, ty więc, jako jego matka, a zarazem kobieta zacna i rozsądna, powinnaś mu rozkazać, aby się nie opierał dłużej



Młody japończyk słucha wyroku śmierci, który nań wydają bonzowie podczas prześladowania chrześcijan w r. 1603.

woli swego pana. Wiesz dobrze, że chodzi tu o życie jego i całej rodziny. Zachowaj mu więc to życie, któreś sama dała, wraz z życiem własnem i jego żony, oraz nie zmuszaj mię do umaczania rąk we krwi tego, którego kocham więcej, niż samego siebie.

Chociaż słowa te wzruszyły do głębi biedną matkę Szymona, przezwyciężywszy jednak wszelkie wrodzone uczucia, zacna niewiasta odparła poważnie:

— Gdyby o doczesne chodziło nam rzeczy, to nie pozostawałoby nic innego, jak zastosować się do twej rady. Ponieważ jednak chodzi tu o pozyskanie lub utratę dóbr wiekuistych, byłoby więc nierozsądnie przenieść nędzny żywot ziemski, który lada chwila można utracić, nad życie niewypowiedzianie szczęśliwe, które nigdy się nie skończy. Zazdroszczę szczęścia swemu synowi i i będę się uważała za najszczęśliwszą z matek, jeżeli mi wolno będzie ponieść wraz z nim męczeństwo.

Kakuzajemon, który się nie spodziewał takiej odpowiedzi, oburzył się niezmiernie i rzekł:

— Kim jesteś, kobieto? czy szatanem, czy też dzikiem zwierzęciem? Powiedz mi, kim jesteś?

I zaczął grozić, że ją sprzeda w niewolę.

— Oby się podobało Bogu uczynić mię na całe życie niewolnicą i sługą ubogich! — odrzekła na to szlachetna kobieta — abym dla miłości Jezusa Chrystusa mogła obmywać rany trędowatych!

Widząc, że namowy jego na nic się nie przydadzą, Kakuzajemon zwrócił się do Szymona i oświadczył, że niezwłocznie uda się do księcia, ażeby mu zdać sprawę z całego stanu rzeczy.

Widzieliśmy już poprzednio, że Kato-Kijomasa skazał Szymona na ścięcie, gubernator zaś to tylko zdołał uzyskać, iż wykonanie wyroku miało nastąpić nie w Kumamoto, ale w rodzinnem mieście Jatsuszyro.

Tegoż samego dnia, w którym Jan pożegnał się ze światem, Kakuzajemon odjechał wieczorem, z Kumamoto i około północy przybył do Jatsuszyro. Tam wezwał niezwłocznie do siebie Joszykawa, człowieka bardzo wpływowego, oraz w bliższych z Szymonem pozostającego stosunkach.

— Wiedz o tem, — rzekł do niego — że książę skazał na śmierć Szymona Taketa. Ponieważ jesteś krewnym i przyjacielem tego nieszczęśliwego, sam więc w jego domu utniesz mu głowę. Zawieź do niego ten list, zawierający wyrok potępienia i obchodź się z nim jak najłagodniej o ile możności. Nie omieszkaj wszakże wypełnić wolę księcia.

Natychmiast po otrzymaniu tego rozkazu, Joszykawa udał się do mieszkania Szymona i znalazłszy drzwi zamknięte, ponieważ to było w nocy, pukał dopóty, dopóki mu nie otworzono. Niezwyciężonego wy-

znawcę znalazł on pogrążonego w modlitwie i po krótkiem, powitaniu wyraził boleść z powodu niemiłej misyi, jaką mu powierzono, poczem podał skazańcowi list od gubernatora. Szymon odczytał go spokojnie, a nawet z radością.

— Nie mogłeś mi lepszej przynieść nowiny — rzekł do zdumionego urzędnika. — Czy zostawisz mi trochę czasu do przygotowania się na śmierć?

Gdy Joszykawa zgodził się na jego żądanie, Szymon wszedł do drugiego pokoju i upadł na kolana przed obrazem Pana Jezusa, cierniową uwieńczonego koroną. Po długiej zaś i gorącej modlitwie podążył do sypialni matki i żony, aby się z niemi podzielić wieścią, jaką przed chwilą otrzymał.

Szlachetne chrześcijanki, przygotowane już oddawna na to nieszczęście, nie okazały najmniejszego zdziwienia, ale wstawszy niezwłocznie, poleciły służącym przyrządzić ciepłą kąpiel dla Szymona, gdyż jest to zwyczaj przestrzegany przez Japończyków, skoro tylko zostaną zaproszeni na ucztę.

Wiedząc, że całe jego mienie miało uledz sekwestrowi i bojąc się, aby nie oskarżono domowników o przechowywanie czegokolwiek, Szymon spisał inwentarz swych ruchomości i przylepił go do drzwi każdego pokoju. Potem, po użyciu kąpieli ubrał się w najpiękniejsze szaty, jakby na jakiś uroczysty obchód, oraz pożegnał żonę, matkę i domowników, których sowicie obdarzył, zachęcając zarazem do cnotliwego życia.

Gdy nadeszła chwila rozstania, żona, matka i wszyscy obecni, przejęci głęboką boleścią, zaczęli głośno płakać, łkania zaś ich i jęki rozdzierały serce biednego skazańca.

— Cóż to? — zawołał, aby ich pocieszyć — czy w taki sposób bierzecie udział w mem szczęściu? Czy mi zazdrościcie męczeńskiej korony? Gdzie wasza wiara, gdzie wasze męstwo i prawdziwie chrześcijańska wytrwałość, jakiej mi dotychczas dawaliście dowody?

Słowa te dodały nieco otuchy wszystkim domownikom, a zwłaszcza żonie Szymona, Agnieszce. Piękna ta i szlachetna kobieta upadła mu do nóg, błagając aby jej uciął włosy.

— Proszę cię o to — dodała — z obawy, żeby po twej śmierci nie mniemano, iż powtórnie chciałabym wyjść za mąż.

Szymon nie chcąc tego dopełnić — odrzekł, iż nie jest to wcale potrzebne, gdyż po jego zgonie będzie mogła poślubić znowu, kogo się jej podoba.

— O nie, mój drogi — zawołała Agnieszka — nie chcę mieć innego męża, oprócz ciebie. Przysięgam to przed Bogiem i nie wstanę dopóty, dopóki nie zrobisz tego o co proszę.

Wówczas matka Szymona, widząc niezłomne postanowienie swej synowej poświęcenia się Bogu, prosiła syna, aby spełnił jej prośbę i wkrótce tenże, ulegając namowom obu kobiet, uciął włosy Agnieszce.

Potem biedny skazaniec prosił Joszykawę o wezwanie doń trzech *Jihijaku*, czyli członków dobroczynnego Stowarzyszenia, Joachima, Jana i Michała, z którymi przed śmiercią pragnął się pożegnać. I tej łaski mu nieodmówiono. Ujrzawszy wchodzących przyjaciół, Szymon rzekł do nich z uśmiechem:

— Czyż nie jestem szczęśliwy, moi bracia, że mogę umrzeć za Chrystusa? Czem zasłużyłem sobie na tak wielką łaskę? Co mogę uczynić, lub wycierpieć, ażeby się odwdzięczyć za to dobrodziejstwo?

— Tak — odrzekł Joachim — jesteś bardzo szczęśliwy. Prosimy cię, abyś, gdy już będziesz w niebie, błagał dla nas Pana Boga o tę samą łaskę.

— Chętnie to uczynię — odparł wyznawca — i wkróce prawdopodobnie połączycie się ze mną na wieki.

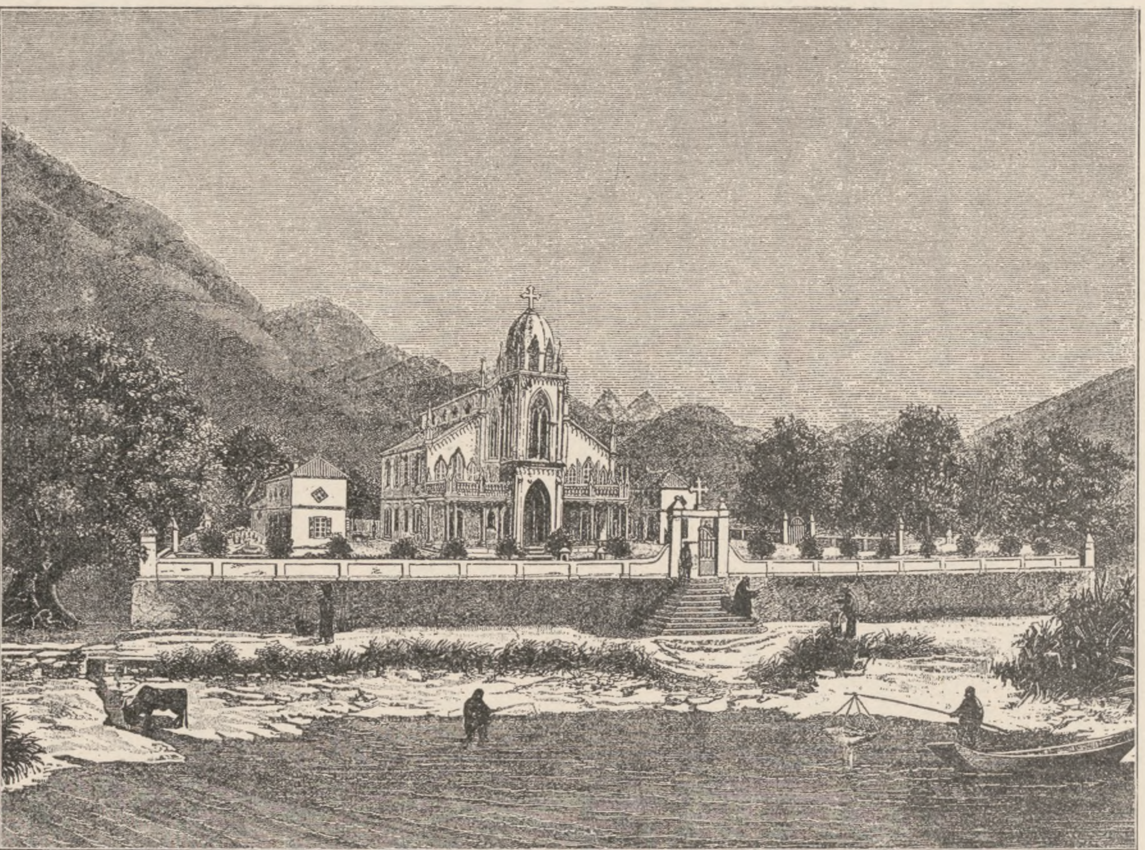
Wówczas wszyscy obecni, to jest Szymon, trzej *Jihijaku*, obie kobiety i domownicy padli pobożnie na kolana, aby odmówić razem *Confiteor*, trzy „Ojcze nasz“ i trzy „Zdrowaś Marya“. Po wspólnej tej modlitwie Szymon spędził czas niejaki na cichej z Bogiem rozmowie. Potem rozkazawszy przynieść świecę i obraz, o którym nadmieniliśmy, ujął za ręce żonę i matkę, mówiąc do nich serdecznie:

— Żegnam was po raz ostatni, gdyż na tym świecie nie zobaczymy się już więcej. Idę pierwszy, aby utorować wam drogę i będę prosił Boga, aby wam udzielił jak najrychlej tegoż samego szczęścia, oraz wezwał was do swojego raju. Potem przepowiedział kilkakrotnie, że doznają takiego samego jak i on losu, chociaż nikt jeszcze nie wiedział wówczas o okrutnym wyroku, wydanym na jego rodzinę.

Zacne niewiasty, przezwyciężając wytrwale za pomocą łaski Bożej wszystkie czysto ludzkie uczucia, odrzekły z bohaterską odwagą, że nadzieja ta właśnie koi ich boleść, i że proszą go o to jedynie, aby im wyjednał u Boga taką śmierć, jaką sam miał ponieść.

Wreszcie wszyscy razem podążyli do sali, w której wyrok musiał zostać spełniony. Najprzód szedł Michał z krzyżem używanym do procesyi, obok niego Jan i Joachim ze świecami w ręku, za nimi zaś Szymon, ubrany w piękne jedwabne szaty i trzymający za ręce swą matkę i żonę. Posępny ten pochód zamykał Joszykawa z gronem stroskanych i zapłakanych domowników.

W sali wisiał obraz *Ecce Homo*, do którego mężny wyznawca największe miał nabożeństwo. Po chwili skazany upadł na kolana przed obrazem, naprzeciw niego stanął Michał z krzyżem, Jan i Joachim ze świecami w dłoni ustawili się obok Szymona, kobiety zaś pozostały



Kościół księży misyonarzy na japońskiej wyspie Sancyan.

opodal. Raz jeszcze wszyscy obecni, z przyszłym męczennikiem na czele, odmówili *Confiteor* i trzy pacierze.

W tejże samej chwili pewien szlachcic, imieniem Hiszyda, który na kilka dni przedtem wyrzekł się wiary chrześcijańskiej, wszedł nagle do sali w celu pożegnania się z Szymonem i ujrzawszy tragiczną tę scenę, oniemiał prawie ze zdumienia, tak, że przez kilka minut pozostał nieruchomy, jakby przykuty do miejsca. Szymon, zobaczywszy go, oświadczył, że się cieszy, iż będzie on świadkiem jego śmierci za wiarę, której tak niedawno się zaparł. Potem podał matce relikwiarz, jaki zwykle nosił na szyi, żonie zaś na pamiątkę darował różaniec. Tymczasem Hiszyda, wzruszony bohaterstwem tak zacnego człowieka, zaczął wysławiać jego męstwo i ubolewać nad oczekującym go losem.

— Nie lituj się nade mną — odrzekł na to Szymon — gdyż jest to właśnie najszczęśliwsza chwila mego życia. Ubolewaj raczej nad własną niedolą, gdyż wstrętnym w oczach Boga jesteś!

Zmięszany surowemi wymówkami przyjaciela i gryziony wyrzutami własnego sumienia, Hiszyda prosił Szymona o jedno ziarnko z różańca, na pamiątkę dawnej ich przyjaźni.

— Dobrze, dam ci je — odrzekł zagadnięty — ale dopiero wówczas, kiedy mi przyrzeczesz, że zaniechasz kultu fałszywych bogów, aby wrócić na łono prawdziwego Kościoła. W przeciwnym bowiem razie nie mogę tego uczynić.

Gdy Hiszyda obiecał wykonać wszystko, czego od niego żądano, wówczas dopiero szlachetny wyznawca obdarzył go ziarnkiem na pamiątkę i zaczął składać radosne dzięki Bogu za to, że mu pozwolił przed śmiercią tak piękne odnieść zwycięstwo.

Następnie dopełniwszy wszystkiego, co nakazywało mu sumienie, męczennik pożegnał się z obecnymi, obnażył dobrowolnie szyję, pochylił się aż do ziemi przed obrazem Zbawiciela i wezwał głośno na pomoc Jezusa i Maryę. W tejże samej chwili jedno cięcie miecza oderwało od kadłuba głowę chrześcijańskiego bohatera, która się potoczyła do Joachima, ten zaś na znak uszanowania dotknął nią swego czoła. Jednocześnie w całej sali rozległy się okrzyki boleści, wydawane przez wszystkich świadków okropnej tej sceny. Obie tylko kobiety, to jest matka i żona, nadludzki niemal zachowywały spokój.

Po chwili pierwsza z nich położyła rękę na głowie syna, przytuliła ją do piersi i ucałowała kilkakrotnie, mówiąc:

— O, piękna i droga głowo! O, szczęśliwy Szymonie, żeś był godzien położyć życie za Tego, który niegdyś swe własne poświęcił za ciebie! Boże mój! — dodała — Ty, któryś z miłości ku mnie ofiarował na śmierć Jednorodzonego Syna, przyjmij ofiarę z jedynego mego dziecięcia, umęczonego dla Twej chwały!

Z kolei zbliżyła się żona męczennika i ucałowawszy z szacunkiem głowę męża, rzekła:

— Teraz już mi niczego nie braknie do szczęścia, ponieważ mam męża męczennika, który obecnie przebywa w niebie. O, szczęśliwy Szymonie! O, sławny męczenniku, który już teraz królujesz z Bogiem, nie zapominaj o stroskanej swej małżonce i wezwij mię, jak najrychlej do siebie, abym mogła wiecznie wraz z tobą widzieć i chwalić Stwórcę.

Tak umarł Szymon Taketa za wiarę Chrystusową w 35 roku życia. Męczeństwo jego dokonane zostało przed świtem dnia 9 grudnia 1603 roku.

Niebawem Joanna i Agnieszka odeszły do swego pokoju, Hiszyda zaś, który pospieszył tam za niemi, znalazł je zalane łzami, co niezmiernie go zdziwiło.

— Jakto — zawołał — patrzałyście na śmierć Szymona z tak bohaterską odwagą, teraz zaś po jego zgonie poddajecie się rozpaczy?

Na to zacne niewiasty odpowiadały jednogłośnie, że nie dlatego płaczą. iż go utraciły, ale ponieważ same jeszcze żyją i obawiają się niezmiernie, aby ich daleko łagodniejszy nie spotkał wyrok. Hiszyda bardziej jeszcze zdumiony, nie mógł znaleźć dostatecznych wyrazów uwielbienia dla ich bohaterstwa i cnoty, chcąc zaś je pocieszyć, rzekł, że pragnieniom tym prawdopodobnie stanie się zadość, ponieważ Magdalena, żona Jana Minami, została już na śmierć skazaną. — I wy więc — dodał po chwili — nie możecie innego spodziewać się losu.

Wiadomość ta tak ucieszyła obie kobiety, że natychmiast otarły łzy i uklękły, aby podziękować Bogu za tak wielką łaskę, od tej zaś chwili nie widziano na ich twarzach najmniejszej oznaki niepokoju lub smutku.

Gdy wkrótce potem odwiedzili je trzej *Jihijaku*, z zamiarem pocieszenia choć trochę nieszczęśliwych kobiet, znaleźli je rozpromienione radością, której powody natychmiast im wyznały. Potem podziękowawszy za przyjacielskie usługi oddane Szymonowi, błagały, aby poczciwi ludzie zechcieli również towarzyszyć im samym aż do ostatniego tchnienia.

O wschodzie słońca obie kobiety, nie wątpiąc, że nadszedł ostatni dzień ich życia, uklękły przed obrazem Najświętszej Panny i odmówiły pobożnie litanię. Były one tak spokojne i zadowolone, że poganie, którzy pilnowali zwłok Szymona, podziwiali ich męstwo. Radość zaś biednych kobiet doszła do najwyższego stopnia, gdy się dowiedziały, że Kakuzajemon, spełniając jakby najgorętsze pragnienie ich serca, skazał je na ukrzyżowanie wraz z cnotliwą Magdaleną, żoną Jana Minami, który w wigilię dnia tego poniósł śmierć męczeńską.

Tegoż samego wieczora przyprowadzono do ich mieszkania przyszłą towarzyszkę męczeństwa, wraz z siedmioletnim chłopczykiem Ludwisiem, synem starszego brata Jana, którego ten ostatni, jako człowiek bezdzietny, przybrał oddawna za syna. Znalazłszy się razem, wszystkie trzy kobiety zaczęły nawzajem sobie winszować i ze łzami radości dziękować Bogu za przyjęcie w ofierze ich życia.

— Co za szczęście dla nas — wołały — umrzeć na krzyżu tak, jak nasz Zbawiciel!

— To drogi nasz Szymon — mówiły Joanna i Agnieszka — wyjednał nam tę łaskę.

— Co do mnie — dodawała Magdalena — zawdzięczam ją modlitwom Jana, ukochanego mego małżonka. — Potem zwracając się do małego Ludwisia, który wraz z nią był na śmierć skazany, rzekła:

— Synu mój, pójdziemy do nieba, aby się połączyć z twym ojcem: Gdy cię ukrzyżują, nie zapomnij aż do ostatniej chwili wołać: „Jezus, Marya!“

Dziecię przyrzekło to ochoczo, Magdalena zaś, widząc niezłomne postanowienie niewinnego chłopczyka, ucałowała go serdecznie i rzewnemi zalała się łzami.

Z obawy, aby lud nie przeszkodził w dzień wykonania wyroku, gubernator kazał zaczekać aż do późnej nocy i wówczas dopiero wywieźć biedne kobiety na miejsce stracenia. Gdy całe miasto w głębokim śnie było pogrążone, zawiadomiono wszystkie trzy niewiasty, iż mają niezwłocznie przygotować się do odjazdu. Całe ich przygotowanie polegało na rzewnej i gorącej modlitwie, poczem wyszły wszystkie z domu, ubrane w najpiękniejsze szaty. Wówczas też Agnieszka prosiła Joachima o zabranie obrazu Pana Jezusa, uwieńczonego cierniową koroną, przed którym drogi jej Szymon ostatnie wydał tchnienie.

Przede drzwiami biedne kobiety znalazły trzy *norimono*, czyli palankiny, używane przez osoby znakomitego rodu. Zostały one przysłane przez gubernatora, który w ten sposób pragnął okazać szacunek względem matki i żony swego przyjaciela Szymona, jak również dlatego, że wszystkie trzy wyznawczynie były niezmiernie zacne i szlachetne. Mały Ludwiś wsiadł do palankinu matki. Obok każdego *norimono* szedł jeden z trzech wieśniaków, którzy postanowili towarzyszyć aż do końca na miejsce stracenia. Agnieszka rzekła do Jana, który jej towarzyszył:

— Zbawiciel mój, Jezus, pomimo wycieńczenia i znużenia szedł pieszo na Kalwaryę, ja zaś nędzna Jego służebnica, mam być niesiona w lektyce?!

To mówiąc, zaczęła nalegać, aby jej pozwolono wysiąść, ale Jan oparł się temu stanowczo, mówiąc, że policyanci nie zgodziliby się nigdy na takie przekroczenie nakazu gubernatora.

Pierwszą męczennicą była Joanna, matka Szymona. Była to kobieta niepospolitego męstwa i odwagi, której najlepszy dała dowód, mówiąc do swoich katów:

— Gdy mój Zbawiciel został ukrzyżowany, przebito mu ręce i nogi, oraz jak najdotkliwsze zadawano męczarnie. I ja więc, o ile tylko zdołam, pragnęłabym go naśladować. Dlatego też proszę, nie oszczędzajcie mię wcale, owszem, dajcie mi uczuć całą okropność kary. Skrępujcie mi jak najmocniej ręce i nogi, tylko szyję pozostawcie wolną, abym mogła się modlić i objawić przyjaciołom ostatnią swą wolę.

Gdy uczyniono zadość jej żądaniu, wówczas zacna niewiasta, nadziemskim ożywiona zapałem, wygłosiła ze swego krzyża wzniosłą przemowę do licznego tłumu, który napłynął na miejsce egzekucyi.

— Słuchajcie — rzekła — wszyscy, którzy tu jesteście. Widzicie mię w stanie, w którym nie chciałabym kłamać, ponieważ umrę za chwilę i pójdę złożyć przed Bogiem rachunek ze wszystkich słów i czynów. Otóż oświadczam wam z głębi serca, że jedyną wiarą, mogącą zbawić człowieka, jest wiara chrześcijańska. Błagam więc was usilnie, abyście otworzyli oczy na światło prawdy i wyrzekli się kultu fałszywych bogów. Wy zaś bracia moi i siostry, którzyście otrzymali Chrzest święty, wytrwajcie niezachwianie w wierze i niech śmierć nasza nie przeraża was wcale. Nic bowiem niema słodszego, jak umrzeć za Tego, który dla nas poświęcił życie.

Bohaterska męczennica chciała jeszcze mówić dalej, ale jeden z urzędników, bojąc się, aby jej słowa nie wpłynęły na zmianę przekonań zebranego tłumu, porwał włócznię i wymierzył cios w bok nieszczęśliwej, który jednak chybił swego celu. Widząc to Joanna, zawołała dwukrotnie: „Nie dobrze wyostrzyliście żelazo!“ Potem, gdy zaczęła wzywać głośno Jezusa i Maryę, tenże sam urzędnik pchnął włócznię w lewy jej bok i to tak gwałtownie, że zabójcze żelazo przeszyło ją na wylot. Wówczas strumień krwi wytrysnął z głębokiej rany, a błogosławiona dusza uleciała do nieba.

Potem nadeszła kolej na Magdalenę, żonę Jana Minami. Podczas, gdy ją przywiązywano do krzyża, odważna niewiasta składała Bogu dzięki za doznawane katusze. Wszystko to jednak było niczem w porównaniu z boleścią, jaką jej sprawiał widok małego Ludwisia, który miał umrzeć w jej oczach. Biedne dziecię, widząc, że przywiązano jego matkę, zbliżyło się do katów i zaczęło prosić, aby z niem również tak uczyniono.

— Czyż nie boiż się śmierci, która już tak jest blizką? — zapytał jeden z obecnych.

— Nie — odrzekło dziecię — nie boję się jej wcale, owszem, chcę umrzeć wraz z matką.

W tej chwili siepacze, porwawszy chłopczyka, przywiązali go do niewielkiego krzyża naprzeciw Magdaleny. Gdy zbyt silnie zaczęto go krępować, Ludwiś wydał lekki okrzyk, który tak dalece wzruszył urzędnika przewodniczącego tej egzekucyi, że nie mógł wstrzymać się od łez i kazał rozluźnić jego więzy. Potem mały męczennik został podniesiony w górę i utkwił wzrok w obliczu matki, która wciąż patrzała na niego, mówiąc:



Japonia. Okręt z księżmi misyonarzami u wejścia do zatoki w Jeddo.

— Dziecię moję, pójdziemy do nieba, nie bój się więc niczego, powtarzaj tylko ciągle: Jezus, Marya!

Rzeczywiście chłopczyk wraz z matką wygłaszał bez przerwy święte te imiona, tworząc jakby cudowny koncert pobożności, który musiał zachwycać aniołów, wszystkim zaś obecnym wyciskał łzy z oczu.

Po niejakim czasie, kat podniósł włócznię i skierował ją do małego Ludwisia, ale ostrze ześlizgnęło się tylko po sukience chłopczyka, najmniejszej nie zadając mu rany. Jeżeli jednak cios ten ominął dziecię. to przeszył z pewnością serce jego matki. Bojąc się, aby uderzenie włócznią nie przestraszyło chłopczyka, Magdalena zawołała znowu:

— Ludwisiu, synu mój, odwagi. mów ciągle: „Jezus, Marya!“

Rzecz dziwna! dziecię nie zdawało się wcale zdziwione tem, co się dokoła niego działo, nie wydało najlżejszego okrzyku, nie wylało ani jednej łzy, słowem nie zdradziło najmniejszego uczucia bólu, oczekiwało spokojnie, aby kat cios swój powtórzył. Rzeczywiście drugie uderzenie włócznią przeszyło na wskroś nieszczęśliwą istotkę.

W taki sposób dopełniła się ofiara małego baranka. Umarł on, jak Zbawiciel, bez narzekania lub skargi, w obecności stroskanej matki.

Ta ostatnia nadludzkie tymczasem znosiła męczarnie. Kat, który dobił jej syna, zbliżył się następnie do niej z włócznią, z której spływała jeszcze krew ukochanego dziecięcia. Cios, wymierzony w lewy bok Magdaleny, zadał tylko głęboką i bolesną ranę, męczennica zaś cierpiała spokojnie, powtarzając wciąż imiona Jezusa i Maryi. Nagle chustka zsunęła się jej na oczy, i biedna kobieta zawołała ze smutkiem: Nie mogę widzieć nieba! Ale niebawem drugi cios, wymierzony w bok prawy, przerwał nić jej życia i wprowadził do raju szlachetną duszę męczennicy, aby się połączyła z małżonkiem swym Janem, którego katusze i śmierć męczeńską tak odważnie dzieliła. Miała ona zaledwie 33 lata.

Pozostawała więc już tylko Agnieszka, którą zachowano samą na koniec okropnej tej rzezi. Gdy ją wyprowadzono z palankinu, uklękła obok krzyża i podziękowała Bogu za łaskę, jaką ją zaszczycił, pozwalając umrzeć na drzewie krzyżowem, na którem sam śmierć poniósł. Po krótkiej modlitwie prosiła swych oprawców, aby ją przywiązali do krzyża, nikt wszakże nie śmiał ani jej dotknąć, ani zbliżyć się do niej. Wszyscy obecni tak głęboką byli przejęci boleścią, że prawie oniemieli ze wzruszenia. Napróżno odważna chrześcijanka wzywała ich do dzieła, stali bowiem nieruchomo, jak posągi, wzdychając tylko głęboko, lub zalewając się łzami. Wreszcie spostrzegłszy ich słabość, młoda bohaterka sama położyła się na krzyżu, ale należało ją jeszcze przywiązać i podnieść wraz z krzyżem, żaden zaś z siepaczy, pomimo nalegań swego zwierzchnika, nie śmiał tego dopełnić.

Wreszcie poganie w znacznej zebrani tam liczbie i wiedzeni bądź nadzieją jakiego zysku, bądź bałwochwalczym fanatyzmem, zbliżyli się sami i nie czekając rozkazu, przywiązali męczennicę do krzyża, oraz podnieśli ją w górę. Wówczas wszyscy obecni zaczęli jęczeć i płakać, widząc tak młodą, piękną, szlachetną, delikatną, rozumną i skromną kobietę, skazaną na śmierć jedynie za to, że pozostała wierną swemu Bogu.

Jedni spoglądali na nią z politowaniem i zalewali się łzami, drudzy odwracali oczy od tego widoku, który rozdzierał im serca. Ona



Japońska wyspa Sancyan i kościół ś.go Franciszka Ksawerego.

tymczasem spoglądała w niebo, modląc się nieprzerwanie i oczekując śmiertelnego ciosu. Nikt wszakże nie chciał go wymierzyć tak, że dopiero ci, którzy ją przywiązali do krzyża, musieli wziąć włócznie katów, a ponieważ nie umieli niemi władać, poranili więc okropnie biedną swą ofiarę, ale zamordować jej nie zdołali.

Podczas tego znęcania się nad sobą, Agnieszka spoglądała na obraz *Ecce Homo*, trzymany przez Jana, i wygłaszała z miłością święte imiona Jezusa i Maryi. Wreszcie, otrzymawszy pocisk w serce, oddała Bogu czystą swoją duszę w 31 roku życia.

(D. c. n.)



Do Przeczystej...

Perło nasza, westchnień kwiecie,
Lilio cudna Wschodu!
Modłów tchnienie, ukojenie
Biednego narodu!

Światło ciemnych, gwiazdo smutnych
Promieniu znękanych,
Piękno Boże, szczęścia zorze,
Jasności zbłąkanych...

Łez Królowo, cudów tworze,
Obrono grzeszących...
Najśliczniejsza, najhojniejsza
Skarbnico łaknących!...

Dźwignio z cieni, ofiar wzorze,
Królowo miłości
Kochająca, bolejąca
Dziewico żałości!

Ukochanie, życie świata
Ognisko radości,
Uwielbienie, — czci westchnienie,
Przecudna światłości!...

Panno święta, matko więzień,
Ochłodo otchłani,
Błagająca i płacząca,
Litościwa Pani!

Jasna smugo, blasku tęczy,
Osłodo konania,
Pilnująca, o nas drżąca
Od życia zarania.

Cześć i chwała Tobie, Pani,
Nieskalanie święta,
Matko Boża, jasna zorza
Z objęć Nieba wzięta.

Cześć Najczystszej! z łez otchłani
Wołamy do Ciebie:
— „Panno czysta, Matko Chrysta,
Daj ujrzeć Się w niebie!“

El. Korotyńska.



W szwedzkich szponach.

Opowieść religijna z czasów oblężenia klasztoru Jasnogórskiego przez Szwedów.

ROZDZIAŁ IV.

Zaledwie przeminęły słowa pożegnania, a Grześ otarł pospiesznie łzy niemęskie, zaledwie obie kobiety opuściły namiot, gdy nagle dały się słyszeć najpierw głuche strzały z ręcznej broni, a później gromkie okrzyki Szwedów: „Na pomoc!... biją... zabijają.“...

Porwał się książę heski, chwycił za głownię pistoletów.

— Na honor!!.. to napad!... Co za zuchwalstwo tej dziczy!... I ja się dziwię Müllerowi!...

Gniew nagły go porwał.

— Hej, straży! krzyknął — za mną!

I brzęcząc ostrogami, wypadł z namiotu, jak burza, z pistoletami w obu rękach, a za nim szybko, zapominając o jeńcach, straż podążyła.

— Strzeżmy księcia pana, jak oka w głowie!—rzekł jeden ze starszych żołdaków... Ciemność na dworze... taki napad zbójecki niebezpieczny!...

I wybiegli za księciem, gotowi zasłonić go własnemi piersiami.

— Dziowanelli, gdzie jesteś?... Do mnie! — dał się słyszeć już z oddali donośny głos księcia.

Ale giermek nie ruszył się z miejsca.

Młody Włoch przeżywał ważne chwile swego życia.

Nad młodem jego i wrażliwem sercem zapanował obraz uroczej Jagusi, jej rozpacz, możliwa utrata przez nią tak blizkich sercu, jak brat i ojciec, wszystko to przykuło go do miejsca.

Słyszał głos księcia, ale pozostał już wśród tych, do których pociągnęło go serce, wrażliwe, serce poety, syna gorącej Italii.

— Dość mi towarzystwa ze Szwedami i Niemcami! — zawołał — dość przyjaźni z tymi, którzy unieszczęśliwiają... Wielki Boże, pomóż mi, abym mógł godnie służyć tym niewinnym!... tym szlachetnym!... Dusiłem się już z lutnią milczącą w garści, w namiocie pana, który służy złej sprawie... Jam wolny lutnista!.. Od tej chwili, was, niewinnie na śmierć skazanych, sługa!...

I mówiąc to, w uniesieniu wielkiem poskoczył zwinnie ku hrabiemu, zręcznym ruchem rozciął więzy, które powyżej stóp krępowały mu nogi, w ten sposób, że jeniec tylko nader powoli mógł się poruszać i chodzić.

— Jesteście wolni, mości hrabio! — zawołał. — Bierzcie miecz do ręki i walczcie o życie!...

Poczem znalazł się przy Grzesiu i Zapale.

— Dalejże do walki! — zawołał, rozcinając im więzy.

Na jednej ze ścian namiotu starego Arnulfa wisiała broń rozmaita, w walkach z Polakami w granicach Wielkopolski zdobyta. Wisiały szable w bogatych pochwach, jatagany, pistolety i rusznice.

Poskoczyli ku tej ścianie hrabia, Zapała i Grześ, chwycili chciwie za głownie pistoletów i szabli.

Dziowanelli wyskoczył z namiotu, krzycząc:

— Za mną!... Jam giermek księcia heskiego... Któż się ośmieli zatrzymać mnie!...

I wypadł, a za nim jeńcy.

Ogarnęła ich ciemność nocy zimowej, bez gwiazd, pochmurnej i wietrznej.

Tylko tam, przy pierwszej fosie klasztornej paliła się jak świeca, szwedzka wieża oblężnicza, z której skoro świt, miał wylecieć rój zabójczych pocisków na walecznych obrońców Jasnej-Góry.

Grześ i Zapała rzucili się w stronę fosy, oświeconej krwawą łuną pożaru. Nikt ich nie wstrzymywał, nikt w obozie szwedzkim nie brał za wrogów. W tem zamieszaniu któż mógł się spodziwać, że są to jeńcy ratujący się ucieczką?

Tylko Dziowanelli krzyknął za nimi.

— Nieszczęśni, dokąd zmierzacie?...

Ale głos jego śpiewny, przytłumiony, zagłuszył ostry podmuch i poświst wichru, który dął od pożaru i na skrzydłach swoich rozrzucał snopy iskier i drzazg płonących.

— Mości hrabio! — zawołał Dziowanelli, chwytając za rękę młodzieniaszka — ani kroku naprzód!...

— Czy pod przymusem? — zapytał szybko hrabia.

— Tak, ale pod braterskim...

— Muszę iść za tamtymi, którzy już są przy płonącej wieży... Tam są nasi... Wraz z nimi dostanę się do klasztoru...

I rwał się niecierpliwie naprzód.

— Na Madonnę zaklinam was, hrabio, nie tam ocalenie wasze... Zaklinam was z całej duszy...

Tyle było szczerości w słowach młodego Włocha, że hrabia wstrzymał się, a Dziowanelli mówił:

— Tamci nieopatrzni... sami poszli na stracenie... Szwedzi nie dopuszczą ich do tej garstki zuchów, którzy podpalili wieżę oblężniczą... Cudem się tylko ocalić mogą...

— Czegóż więc chcesz ode mnie?... Dlaczego mnie wstrzymujesz? — zapytał niecierpliwie hrabia.

— Osłońcie sią moim płaszczem, mnie dajcie swój kożuch — mówił giermek głosem drżącym od wielkiego wzruszenia, gdyż w tejże chwili wiatr przyniósł echo głośnego nawoływania:

— Dziowanelli!.. do mnie!... hej, Dziowanelli!...

Był to głos księcia heskiego.

— Nigdy! o, nie pójdę już za tym głosem! — szepnął giermek.

Co rzekłszy, szybko poskoczył za namiot, gdzie stało kilka koni, gotowych do drogi.

Wśród zamieszania książę heski zapomniał o swym rumaku, i w porywie wielkiego gniewu pędził z pistoletami w ręku na miejsce, gdzie wrzała walka.

Toż samo uczyniła straż jego, otoczywszy drogą sobie osobę pana zwartem kołem.

— Na koń, mości hrabio! — zawołał Dziowanelli, porywając za uzdę dzielnego bieguna, który niecierpliwił się, stojąc na mrozie i wietrze.

Młody hrabia nie dał sobie tego powtórzyć.

Lekko skoczył na siodło, gdy Dziowanelli dosiadał drugiego wierzchowca, który również rwał się do biegu, jak strzała w łuku napięta.

— Mości hrabio! — zawołał Włoch — hasło armii szwedzkiej na dzisiejszą noc wiedzcie!

— Jakież ono? — pytał hrabia, gorejąc z niecierpliwości.

— „Król i Sztokholm!“

— A więc w drogę!

— Za godzinę będziemy wolni, jako ptacy powietrzni! — szepnął Dziowanelli, spinając konia ostrogami.

— A tamci dwaj? — zapytał hrabia, mając na myśli Grzesia i Zapałę.

— Tamtych los w ręku Boga! — odparł poważnie giermek.

Umilkli i pomknęli, jak wicher, drogą przez obóz ku kościołowi świętej Barbary.

Senne straże, widząc swoich, przepuszczały ich, nie żądając nawet hasła.

Tak wypadli na drogę do Olsztyna prowadzącą.

ROZDZIAŁ V.

Brzask późnego, zimowego poranka zlekka zaróżowił na wschodzie ciemne, wichrem gnane chmury, gdy obaj młodzi jeźdźcy, Dziowanelli i hrabia Jan, wysunęli się na skraj lasu, który szeroko opasywał okolicę Olsztyna.

Tu i owdzie porozrzucane olbrzymie skał złomy i wzgórza wyniosłe zarysowały się liliowemi konturami wśród złotej poświaty budzącego się dnia.

Dziowanelli wstrzymał pianą pokrytego wierzchowca, zwrócił się do jadącego obok towarzysza i zawołał:

— Odetchnijmy!... Tu chyba nic nam nie zagraża!...

Ale młody hrabia zdawał się nie zwracać uwagi na jego słowa, zajęty pilnem nasłuchiwaniem i rozglądaniem się dokoła.

— Gdzież jesteśmy? — zapytał Dziowanelli, który będąc bardzo zdolnym, po roku pobytu w krainach nad Wartą i Wisłą położonych, nauczył się dość biegle mówić po polsku.

I tym razem nie otrzymał odpowiedzi, gdyż hrabia nagle zeskoczył z konia i szybko podając mu cugle, rzekł:

— Nie możemy jechać dalej w tym kierunku... Po za tą polanką znajduje się niebezpieczne torfowisko i bagnisko... Mogłyby nam konie ugrząźć w tych moczarach... Potrzymaj, dzielny druhu, mojego wierzchowca... Muszę ostrożnie zbadać te zarośla... Prostemi drogami przy świetle dziennem, ani sposób nam jechać... Czatują tam liczne straże szwedzkie, aby nie dopuścić żadnej pomocy dla oblężonych w Częstochowie...

Szedł brzegiem boru sosnowego, ktorego konary poważnie szumiały, zdając się nucić poranny hymn dziękczynny w kornej podzięce

Stwórcy za to liliowo-różane światło zorzy, co nagle zabłysła na wschodzie chmurami zasnutego horyzontu, za powrót dnia słonecznego po mrokach i ciemnościach nocy.

Jakoż bór odwieczny szumiał, chwiały się wyniosłe wierzchołki drzew, jedne ku drugim zdawały się nachylać i jedne drugim coś powtarzać i szeptać. A wiatr po nad nimi pędził mdłe chmury, światłem poranku prześwietlone i zdawało się rzucał je hen, gdzieś w dal tajemniczej puszczy, gdzie obezwładnione ginęły bez śladu, jak rzucone w głębiny oceanu.

Dzień wstawał.

Na wschodzie po przez poszarpane chmury, wystrzelił jeden, drugi, a później setny i tysiączny promień słońca, które w purpurze ognia, w majestacie królewskim, wysunęło się z po za horyzontu i objęło władzę nad światem, radością napełniając wszystko co żyje.

W głębi puszczy coś się poruszyło, jakieś głosy tajemnicze, nieznane w niej się odezwały.

Na kapelusz Dziowanellego upadły dwa płatki śniegu, które jakiś ptak, zbudzony światłem dnia, wstrząsając skrzydłami do lotu, zrzucił z wyniosłej sosny.

Młody Włoch po raz pierwszy w życiu przeżywał czar swobody, wolności, uczuł się panem siebie, bez oków służalczych, które dotychczas raniły jego wrażliwe serce.

Syn ubogich, rodziców z górzystych okolic Neapolu, od dziecka walczył z nędzą, aż zabłąkał się na dwór książątka heskiego, gdzie kazano mu, jako obdarzonemu niepospolitym talentem muzycznym i poetyckim, lutnią i gitarą zabawiać młodego pana.

— Wolny jestem! — wyszeptał Dwiowanelli, mimowoli goniąc wzrokiem za lotem ptaka, co nagle poszybował w stronę dnia wschodzącego.

I młody Włoch zapragnął czynu, pracy, sławy, jako człowiek wolny, który nagle znalazł po temu pole, znalazł dobrą sprawę, dla której warto nadstawić piersi, oddać życie.

Obdarzony zaufaniem młodego księcia, wraz z nim szlakami zaborczych wojsk króla Karola Gustawa zapędził się w krainy polskie i porwany burzą wojenną, pozostawał przy boku pana. Ale ta służba stała mu się niewolą, ciężarem, kajdanami.

Gdy tak rozmyśla Dziowanelli, dały się słyszeć czyjeś kroki: wracał hrabia Jan.

Biegł szybko, znać było na jego młodzieńczej twarzy silne wzruszenie.

— Dziowanelli!—rzekł—drogi przyjacielu... szczęście nam sprzyja...

-- Cóż się stało? — zapytał Włoch.

— Uwiąż u drzewa konie, niech czekają na nas, a sam pójdź!...

Głos młodego hrabiego był przepojony radością.

— Pójdź, młody przyjacielu, ujrzysz obraz godny pieśni i pędzla wielkiego artysty...

I obaj zwinnie przedzierali się między gęstwiną leśną, przeskakując z kępy na kępę, między moczarami, aż do skraju niewielkiej doliny, dokoła otoczonej torfowiskami i bagniskami.

Śnieg, strząsany z gałęzi, gdy się między niemi przeciskali, pokrył ich odzież.

Nie zważali na to, dążąc wciąż naprzód.

Nareszcie młody hrabia zatrzymał się na jednej z większych kęp, wśród trzęsawiska.

— Patrz! — rzekł — patrz!

Mówiąc to, rozchylił suche lecz gęste gałęzie leszczyny i jałowcu.

Dziowanelli ciekawie spojrzał przed siebie i ujrzał scenę niezwykle piękną.

Oto w promieniach wschodzącągo słońca widać było gromadę ludzi, w strojach wieśniaczych, z kosami, cepami i widłami w ręku. Niektórzy mieli strzelby na ramieniu.

Byli wśród nich ludzie lat średnich, byli starcy, byli i zaledwie piętnastoletni młodziankowie.

Wszyscy klęczeli, obróceni twarzami w stronę wschodu, z oczyma wzniesionemi ku niebu i modlili się.

Starcy głośno odmawiali „Ojcze nasz“, a młodzi za nimi powtarzali.

Promienie wschodzącego słońca złociły ich surowe lica, w tej chwili przez modlitwę rozjaśnione, odbijały się w stali ich broni i opromieniały ich płowe, kędzierzawe głowy.

— To nasi! — rzekł hrabia.

— Ale może trzymają stronę Szwedów — ostrzegł Dziowanelli.

— To być nie może! — zaprzeczył hrabia.

— A więc pójdźmy do nich...

— Pójdziemy, ale niech przestaną się modlić... Nie należy zakłócać im modlitwy...

— Mądrze mówicie, mości hrabio! — pochwalił Włoch, potrząsając ciemną czupryną i z lubością wodząc swemi płomiennemi oczyma po zbrojnej gromadce.

— Modlą się! — powtórzył — o, Madonno Przenajświętsza, jakże to dawno ja się nie modliłem!...

I nie zważając na śnieg, który w tem miejscu grubo ziemię zaścielał, ukląkł, zaczął się żegnać i cały wzruszony, szeptał po włosku modlitwę, której się od matki w dzieciństwie nauczył.

I tak modlił się, dopóki tamci nie powstali z kolan.

— Teraz pójdźmy do nich! — rzekł hrabia.

— Pójdźmy! — powtórzył Dziowanelli.

Na szelest ich kroków podskoczyło w zarośla żwawo kilku młodych parobczaków z kosami i strzelbami w ręku.

Ujrzawszy przed sobą tylko dwóch młodych ludzi, opuścili wzniesione do góry kosy i zagadnęli:

— Kto jesteście?...

— Niech będzie pochwalona Matka Boska Częstochowska! — rzekł głośno młody hrabia.

— Na wieki!... na wieki wieków! — odrzekli młodzi wieśniacy, zdejmując czapki.

— Myśmy ludzie z Janówka... z pod Żarek! — rzekł jeden z nich, wysuwając się naprzód.

— A jam jest pan z Ruszczy — Jan Branicki.. Witajcie mi, jako rodacy... Uchodzę z pod Częstochowy z tym oto młodym a oddanym mi druhem... Uchodzę z rąk katów i oprawców, gdzie śmierć mię czekała sroga... Ani jednej kości całej nie zostawiliby Szwedzi we mnie...

Głuchy pomruk oburzenia i współczucia wyrwał się z piersi wieśniaków.

— Bóg was uratował!... dzięki Mu po wieki wieków! — rzekł jeden z nich.

— Tak, Bóg Wielki mnie na ten raz ocalił, wziąwszy za narzędzie tego oto młodzieńca.

Tu hrabia wskazał oczyma na Dziowanellego.

— Niechajże za to Przedwieczny użycza mu zdrowia i życia.

Nastała chwila milczenia, gdyż w tej chwili zbliżyli się do hrabiego i starsi wieśniacy.

Ci, usłyszawszy od młodych, kogo mają między sobą, radośnie zaczęli wołać.

— Bóg z nami!... Bóg nas nie opuszcza... Wyście w nieszczęściu, jaśnie wielmożny panie, ale i my nie w mniejszem strapieniu... Szwedzi i źli ludzie spalili wioskę naszą, uprowadzili nam opiekuna naszego, umiłowanego kapłana, co nas chrzcił w niemowlęctwie, śluby nam dawał, do życia w imię Boże sposobił... Uprowadzili nam Panią i Panienkę, co dla nas dobre były... Nie jako chmura gradowa były, jeno jako słoneczko jasne... Na ich ratunek i na pomoc śpieszymy...

(D. c. n.)

Stefan Gębarski.

Historya illustrowana Kościoła Świętego
RZYMSKO-KATOLICKIEGO
w obrazach i życiorysach.

Obraz X.

Prześladowanie chrześcijan za cesarza Dyoklecyana.

Wściekłość, z jaką upadające pogaństwo usiłowało zgnębić i zniszczyć w zarodku wiarę chrześcijańską, rozszalała najbardziej, jakby w ostatniem konwulsyjnem wysileniu, w dziesiątem i ostatniem ogólnem prześladowaniu za Dyoklecyana cesarza.

Okrutny ten władca przybrał sobie do rządów Maksymiana, Galeryusza i Konstansa Chlora: wszyscy, z wyjątkiem ostatniego, byli przejęci nienawiścią przeciw chrześijanom i objawili ją w najstraszniejszy sposób.

Krew potokami płynęła po wszystkich częściach cesarstwa rzymskiego; niektóre miasta zupełnie wyludnione zostały, wymyślano coraz to nowe tortury, popełniano okrucieństwa, na których samo wspomnienie wzdryga się natura ludzka.

Rok przed wstąpieniem na tron cesarski Dyoklecyana, wyniesionym został na stolicę piotrową, po śmierci papieża Eutychiana r. 283 Kajus czyli Gajus święty, tem samem już wzbudzający w nas sympatyą i zajęcie, że pochodził z pobratymczego nam ludu słowiańskiego, a świętobliwością i zasługami doszedł do najwyższej na świecie godności: Następcy Chrystusa Pana.

Święty Gajus był rodem z Dalmacyi dzisiejszej prowincyi austryackiej, blizkie węzły pokrewieństwa łączyły go z cesarzem Dyoklecyanem, lecz wedle słów Skargi „wolał być między wzgardzonymi chrześcijanami, których krew srodze wylewano, aniżeli w powinowactwie cesarskiem dóbr, sławy i rozkoszy cielesnych używać.“



Święty Sebastyan, umęczony podczas prześladowania chrześcijan, za panowania cesarza Dyoklecyana.

Na pierwszą wieść o prześladowaniu, które grozą swą wszystkie poprzednie prześcignąć miało, zgromadził ów mąż Boży tajemnie wszystkich chrześcijan w domu Chromancyusza, starosty rzymskiego i radził im, aby z Rzymu uchodzili i kryli się, póki nie przeminie niebezpie-

czeństwo, gdyż w zaciekłości swej przeciw wierze Chrystusa, cesarz dla rozpoznania łatwiejszego chrześcijan, ustawić kazał bożyszcza na ulicach, przy studniach, na placach publicznych i rynkach, tak, że przybywający po wodę lub dla kupna musieli im pokłon oddać, albo się na śmierć narazić; istnienie więc w takich warunkach stawało się prawie niemożliwem.

Jednakże nieustraszony Ojciec święty, jako dobry pasterz, który owieczek swych nie opuszcza, lecz życie swe w potrzebie za nie oddaje, postanowił nie opuścić Rzymu i dodawał serca i otuchy tym, którzyby z nim zostać i do zniesienia męczeństwa przygotować się chcieli.

Pozostawał więc w stolicy świata i tajemnie pełnił obowiązki swoje, kryjąc się, to w samym cesarskim pałacu, u wiernych współwyznawców, to po pieczarach podziemnych katakumb, gdzie chrześcijan nauczał, utwierdzał w wierze, Msze święte odprawiał i Sakramenta święte rozdawał.

Tymczasem okrucieństwa Maksymiana granic nie znały.

I tak, stojąc z wojskiem niedaleko Genewy, w dzisiejszej Szwajcaryi, całą legię, zwaną tebańską, z samych chrześcijan złożoną, tysiąc ludzi liczącą, wyciąć kazał, gdy nieustraszeni ci żołnierze pomimo rozkazu cesarskiego nie chcieli obławy na tamecznych chrześcijan czynić.

Kajus rządził przez lat jedenaście Kościołem Bożym, a dbały o jego dobro i dostateczne przygotowanie sług jego do godności biskupiej, postanowił, aby nikt biskupem obrany odtąd nie był, ktoby wszystkich siedmiu święceń kapłańskich, porządnie w służbie Bożej się ćwicząc, nie przeszedł. Ważnem to było niezmiernie w owych czasach, gdzie wielkie czasem powstawały nadużycia przez powierzanie dusz pasterstwa całych dyecezyj ludziom niedostatecznie do tak wysokiego urzędu przygotowanym.

Można przypuszczać, iż wpływ świętobliwego papieża działał cokolwiek na dzikiego jego krewniaka, purpurą cesarską przyodzianego, gdyż edykt nakazujący dziesiąte powszechne prześladowanie, podpisany został przez Dyoklecyana dopiero w siedm lat po śmierci Kajusa, za panowania na stolicy Apostolskiej papieża Marcelina (296 — 304).

Prześladowanie doszło do takich rozmiarów, iż nie licząc innych jego ofiar, przez dni trzydzieści po siedmnaście tysięcy chrześcijan w rozmaitych stronach, rozmaitemi mękami zabito, nie przepuszczając płci, ani wiekowi.

Wówczas to odniósł męczeńską koronę święty Sebastyan, krewny cesarski, typ szlachetnego rycerza.

Przywiązano go do słupa, przy którym ginął powolną śmiercią od strzał nawpółdzikich numidyjskich żołnierzy, z Afryki sprowadzonych.

Wówczas święta Agnieszka, panna wysokiego rodu, wielkiej piękności i olbrzymiego majątku, głowę pod topór katowski oddała.

I Marcelin święty nie długo godność papieską piastował, po ośmioletniem zaledwie panowaniu pojmany i po okrutnych mękach ścięty został roku 304.

W Azyi Mniejszej, w mieście Tarsie, trzechletnie dziecko, Cyr święty, gdy gubernator tameczny je pieścił w czasie mąk zadawanych jego matce, świętej Julicie, drapał mu twarz rączkami i za matką powtarzał:

„Jestem chrześcijaninem!“

Zniecierpliwiony sędzia zrzucił go ze stołu, skąd spadając, chłopczyk zabił się na miejscu.

Matka jego, złożywszy Bogu dzięki za zwycięstwo, jakiego jej synowi udzielił, ściętą została.

Tak Bóg wybierał męczenników swoich we wszystkich położeniach i w wieku najrozmaitszym, aby wykazać zgodność i powszechność wiary katolickiej i przekonać nas, że niema wieku, płci, ani stanu, któreby przeszkadzały nam zostać świętymi i osiągnąć niebo, jeśli tylko silnie tego pragniemy i pilnie z łaską Bożą współdziałamy.

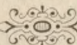
Okazał Bóg jawnie, iż Kościół jest jego dziełem, gdy utwierdził go i rozszerzył w pierwszych trzech wiekach pośród najstraszniejszych prześladowań i ugruntował na męczeństwie. Dziejopisowie rachują dziesięć prześladowań, gdyż dziesięć razy, jakby z ponowioną wściekłością, wybuchła przeciw chrześcijaństwu nienawiść sprzysiężonych wszystkich sił społecznych państwa rzymskiego, właściwie jednak prześladowanie nie ustawało przez całe trzy wieki, a liczba męczenników kilka milionów wyniosła. Nieraz katowie, wzruszeni stałością swych ofiar, wyznawali Boga chrześcijan, i sami śmiercią męczeńską ginąc, chrzest krwi odbierali, nieraz lud po amfiteatrach, patrząc na nadludzkie męstwo ginących na arenie męczenników, wołał:

— Wielkim jest Bóg chrześcijan!

Poczem liczba wyznawców Chrystusa wzrastała.

Jawnie się wówczas pokazało, iż nie leży w ludzkiej mocy, aby módz obalić Kościół chrześcijański, od Boga samego ustanowiony.

(D c. n.)





Święta Agnieszka umęczona, podczas ostatniego prześladowania chrześcijan.

Nowiny z Częstochowy.

Budowa wieży. Roboty przy wieży nie ustają nawet przez zimę. Oczywiście prowadzone są tylko wewnątrz — gdzie temperatura najzupełniej pozwala na takie przedsięwzięcia, jak — burzenie części starych murów i stawianie nowych części. Obecnie zburzono stare sklepienia wewnątrz wieży, które po odbiciu tynków okazały groźne rysy, przyczem sprawdzono znaczne opuszczenie się takowych w zwornikach, tak, że najlżejsze wstrząśnienie mogło tu spowodować katastrofę.

Podrusztowano więc i rozebrano dwa przęsła tych sklepień, właśnie nad głównemi drzwiami kościoła, — przyczem raz jeszcze przekonano się, że były one sklecone niedołężnie bez należytych oporów, trzymając się tylko na licho założonych narożnikach.

W trakcie tej roboty, w tylnej ścianie wieży, przypadkiem dogrzebano się do starego jakiegoś sklepienia, które po bliższem zbadaniu, jak się okazało, jest sklepieniem dawnego głównego wejścia do kościoła.

Obok odkryto podobneż sklepienie — nieco mniejsze, które znów odpowiadało położeniem i wymiarami — oknom nawy bocznej, za tem sklepienie okna nawy bocznej.

Przybył nowy szczegół, który stwierdza poprzednie przypuszczenia, że wieży przed wiekami nie było w tem miejscu, gdzie dziś, a na domysł ten naprowadziła znaleziona w fundamentach studnia, o czem w swoim czasie pisaliśmy. Sklepienia, o których mowa, są ostrołukowe, wykonane z wapienia miejscowego, oblicowane cegłą formowaną o profilu również gotyckim. Zatem kościół był gotycki i zapewne w okresie gotyku wzniesioną została wieża, gdyż ślady tego stylu za-

chowały się i tu nietylko w głównych swych formach, ale nawet i szczegółach. Wieża dobudowaną została po jakimś straszliwym pożarze, a świadczą o tem przepalone i spękane kamienie oraz liczne niezatarte ślady okopcenia.

Notując wyżej spomniany fakt w naszej kronice—zaznaczamy, że roboty prowadzone są z pewnym pośpiechem, tak, by przed przybyciem pierwszych pielgrzymek, mogły być usunięte rusztowania.



Nowiny z daleka i z blizka.

Jubileusz ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny.

= Według zapowiedzianego planu, rok jubileuszowy ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny rozpoczął się w Rzymie nabożeństwem w kościele Matki Boskiej Większej, dnia 8 grudnia. Z rana Mszę cichą odprawił kardynał Ferrata, podczas zaś Mszy, udzielał Komunii Ś-tej wielkiej liczbie pobożnych. Następnie o godzinie 10, kardynał Vannutelli, za szczególnem pozwoleniem Ojca Ś-go, odprawił przy ołtarzu papieskim, w otoczeniu biskupów, kanoników i kleru świątyni, sumę uroczystą. O godzinie 3 rozpoczęły się nieszpory, z kazaniem słynnnego mowcy, Ojca Zocchi.

= Myśl uroczystego obchodu półwiekowej rocznicy ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Bogarodzicy wyszła z łona Stowarzyszenia młodzieży rzymskiej pod godłem Niepokalanej. Włoski kongres katolicki przyjął ją z radością w r. 1900, a żarliwy czciciel Maryi, Papież Leon XIII, w maju roku zeszłego powołał do jej urzeczywistnienia komisyę kardynałów, którą, jak wiemy, następca Leona XIII, Jego Świątobliwość Pius X, zatwierdził. Uroczystościami jubileuszowemi zarządza obecnie rzymski Komitet centralny, który rozpoczął działalność od wysłania odezwy do katolików świata całego i ułożenia planu obchodu. Niezwłocznie też rzymskie zgromadzenie Braci Szarych postanowiło, ku upamiętnieniu jubileuszu, wybudować przy zakładzie swoim kościół pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia; rzymskie bractwo Niepokalanego Poczęcia odnawia w tym celu kościół swój, pod wezwaniem Ś-go Andrzeja della Valle; w Sinigalii, miejscu rodzinnem Piusa IX, odnowiono

i przyozdobiono wieżycę kościoła Maryi Niepokalanie Poczętej; w Macerato buduje się wspaniała świątynia Niepokalanego Poczęcia; w Gaeta, skąd Pius IX wezwał encykliką biskupów katolickich do zajęcia się sprawą ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia, świątynia tamtejsza zostanie przyozdobioną od frontu figurą Maryi.

= Pasterze dyecezyi polskich, w Królestwie Polskiem i Cesarstwie, wydali już rozporządzenia duchowieństwu podwładnemu sobie, określające, jak powinien być obchodzony rok jubileuszowy. Więc kapłani, przez większą pracę w kościele i na ambonie, mają rozbudzić w wiernych uczucia religijne i zachęcić ich do życia czysto chrześcijańskiego. W tym celu odbywać się będą rekolekcye przed spowiedzią i Komunią wielkanocną, a pierwsza Komunia dziatwy odbyć się ma z większą okazałością. Wiernym zalecane są pielgrzymki do miejsc cudami wsławionych za przyczyną Niepokalanej, z całem skupieniem, w duchu pokuty, z pobożnością i ofiarnością. Kapłani wpływać mają na rodziców katolickich, aby wpajali w dziatki cnoty Maryi; aby wdrażali je w zasady doskonałości chrześcijańskiej, opartej na przykładzie Maryi. Z polecenia Jego Dostojności arcybiskupa warszawskiego, ks. Wincentego Teofila Chościak Popiela, w Warszawie, celem uczczenia tak ważnego jubileuszu, odbywać się będą i odbywają solenne nabożeństwa, z wystawianiem Najświętszego Sakramentu i kazaniami: 8 lutego w kościołach Ś-go Karola Boromeusza, Ś-go Józefa Oblubieńca (po Karmelickim) i Panien Kanoniczek; 8 marca w kościołach — Ś-go Krzyża, Ś-go Marcina (po-Augustyańskim) i Ś-go Kazimierza (Panien Sakramentek); 8 kwietnia w kościołach — Najświętszej Panny Maryi, Ś-go Antoniego (po-Reformackim) i Ś-go Ducha (po-Paulińskim); 8 maja — Ś-tej Trójcy i Ś-go Kazimierza na Tamce; 8 czerwca — Przemienienia Pańskiego i Ś-go Jana Bożego (po-Bonifraterskim); 8 lipca — Ś-go Aleksandra i Ś-go Jacka (po-Dominikańskim); 8 sierpnia — Narodzenia Najświętszej Maryi Panny na Lesznie, Śgo Franciszka Serafickiego (po-Franciszkańskim) i w kaplicy Rodziny Maryi przy ulicy Żelaznej; 8 września — Ś-go Floryana na Pradze, Ś-go Augustyna i w kaplicy Ś-go Wincentego na cmentarzu Brodzieńskim; 8 października — Wszystkich Świętych i Ś-go Karola Boromeusza na cmentarzu Powązkowskim; 8 listopada — Ś-go Piotra i Pawła oraz Matki Boskiej Łaskawej (po-Pijarskim). — Jego Dostojność biskup sandomierski Zwierowicz rozpoczął obchód roku jubileuszowego 7 grudnia Nieszporami i wystawieniem Najświętszego Sakramentu. Nazajutrz, w święto Niepokalanego Poczęcia, wystawienie Najświętszego Sakramentu trwało od godziny 6 rano do 6 wieczorem, na podziękowanie Zbawicielowi świata za przywilej, dany Swej Matce. Odbyła się Suma, kazanie i Nieszpory z pieśnią: „Witaj, Święg-

ta i Poczęta!“ Nadto Jego Dostojność ks. biskup sandomierski zalecił księżom proboszczom, aby wznowili dawny zwyczaj śpiewania Litanii do Matki Boskiej w soboty wieczorem, a w niedzielę z rana — Godzinek o Niepokalanem Poczęciu.

= Jego Dostojność arcybiskup lwowski, ks. Bilczewski, ogłosił doniosłej treści List Pasterski, w którym między innemi zawiadamia o Kongresie (zjeździe) Maryjnym, który odbędzie się we Lwowie w maju. Przygotowania i ułożenie przebiegu zjazdu przypadły Sodalicyom Maryjnym. Arcypasterz wzywa wiernych do popierania zjazdu, nadmieniając, że „wyzdrowieje napewno naród, byle pozwolił, iżby go Lekarka Święta leczyła“. List kończy się słowy: „Ach! podnieś rękę Twoją, Matuchno Ukochana, podnieś ją nad nami wszystkimi i błogosław Swoim dzieciom — w imię Ojca, i Syna, i Ducha Ś-go.“

= Celem upamiętnienia jubileuszu, w Rzymie krzątają się około przygotowania do pierwszej Komunii Ś-tej wszystkich chłopców, którzy chociaż skończyli lat 16, mimo to do Stołu Pańskiego nie przystępowali. Znajduje się już bowiem w Rzymie pobożne stowarzyszenie gorliwych kapłanów, którzy przez rok cały, w krótkich odstępach, przygotowują ubogich chłopców dziesięcioma rekolekcyami do Sakramentu Ciała i Krwi Pańskiej. Obecnie kardynał-wikary zalecił kapłanom i ludziom dobrej woli, aby ku czci Najświętszej Panny wyszukiwali w całym Rzymie chłopców pod względem religijnym zaniedbanych, skłaniali ich do przyjęcia Komunii Ś-ej i składką 10 lirów przyczyniali się do ich utrzymania w domu rekolekcyjnym. Ojciec Ś-ty zaś polecił, aby Jego kosztem przyjęto na rekolekcye 100 chłopców.

= Lekarze rzymscy zamierzają również się przyczynić do uświetnienia roku jubileuszowego. Już odbyli w tym celu naradę u czcigodnego ks. proboszcza Ferriniego. Z narady wypadło: aby pobożne stowarzyszenie lekarzy rzymskich, istniejące pod wezwaniem Ś-tych Łukasza, Kosmy i Damiana, rozszerzyć po całym świecie; aby w kwietniu roku bieżącego urządzić wielką pielgrzymkę lekarzy z całego świata do Rzymu. Lekarze-pielgrzymi będą rozpatrywali cudowne uleczenia, zrządzone za przyczyną Najświętszej Panny.

= Postanowiono świetnie przyozdobić obraz Niepokalanie Poczętej, znajdujący się w kaplicy kanonicznej rzymskiego kościoła Ś-go Piotra, ramą spiżową i koroną z brylantów, oraz innych klejnotów. W r. 1854, kiedy ogłoszono dogmat Niepokalanego Poczęcia, Pius IX umieścił na głowie wizerunku dyadem królewski (kosztowną przepaskę). Teraz

dyadem będzie zastąpiony wspaniałą koroną. Jakoż do Watykanu na ten cel zewsząd napływają klejnoty. Ojciec Ś-ty pierwszy ofiarował dwa przepyszne brylanty.

= Jego Świętobliwość żywi wielką cześć i miłość synowską dla Bogarodzicy, przeto gorliwie się troska o uświetnienie jubileuszu. Niedawno przyjmował Komitet Jubileuszowy, który przybył na posłuchanie z kardynałem Wincentym Vannutellim na czele. Na przemówienie kardynała, Jego Świętobliwość nadmienił, iż spodziewa się, że rok jubileuszowy przyniesie światu katolickiemu bardzo wiele łask, o co też On Sam prosi Niepokalaną Dziewicę codziennie w modlitwach Swoich.

= Tworząca się w Rzymie Biblioteka Maryjska została wzbogacona cennym darem. Jest nim dzieło, roztrząsające doniosłość i piękność hymnu *Magnificat* („Wielbij, duszo moja, Pana“) oraz zawierająca ten hymn we wszystkich językach.

Rok pierwszy panowania Jego Świętobliwości Papieża Piusa X.

= W wigilię Bożego Narodzenia, Jego Świętobliwość przyjmował na posłuchaniu uroczystem Święte Kollegium (zgromadzenie kardynałów i prałatów), które stawiło się z dziekanem swoim, kardynałem Oreglia, na czele. Kardynał, składając Ojcu Ś-mu życzenia z okazyi świąt, przytoczył myśl przewodnią encykliki Jego Świętobliwości o odrodzeniu wszystkich w Chrystusie i wyraził życzenia, aby Bogarodzica wspierała to zacne i wielkie dzieło, zwłaszcza w bieżącym roku jubileuszowym Niepokalanego Poczęcia. Jego Świętobliwość, dziękując za życzenia, nadmienił, że zwłaszcza rozważanie Tajemnicy Narodzenia Chrystusa w żłobku Betlejemskim powinno nam wskazać, jak mamy prowadzić życie chrześcijańskie. W Tajemnicy tej każdy, na jakimkolwiek szczeblu społecznym jest postawiony, znajdzie przykład bezgranicznej dobroci i cierpliwości, będącej źródłem jedności i pokoju. Jego Świętobliwość wierzy w odrodzenie się ludzkości przez Chrystusa, gotów jest znosić w pokorze wszystko, co na Niego Opatrzność zaśle.

= Jego Świętobliwość ogłosił tak zwane *Motu proprio*, to jest rozporządzenie, płynące z własnego swego przekonania, polecając je rozpo-



Kompania z Brzeźnicy, dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej, u stóp Jasnej-Góry.

wszechnić pomiędzy katolikami świata całego. Składa się ono z 19 części, a dotyczy — jakich zasad mają się trzymać katolicy w życiu społecznem. W pierwszych częściach Ojciec Ś-ty tłumaczy, iż nierówności społeczne istnieć muszą. Równość istnieje tylko wobec Zbawiciela i Przedwiecznej Sprawiedliwości. Z woli Boga są królowie i poddani, bogaci i ubodzy, światli i prostaczkowie; ale wszystkich łączyć powinny węzły miłości i pomocy wzajemnej, moralnej i doraźnej. W innych częściach rozporządzenia Jego Świętobliwość uczy, że własność jest prawem natury. Każdy ma prawa nietylko pożytkowania, ale pełnego rozporządzania swojemi dobrami ziemskiemi. W stosunku możnych do biedaków trzeba odróżniać prawo od dobroczynności. Prawa oparte są na obowiązkach. Obowiązki ubogich są: uczciwe i wierne wypełnianie wyznączonej pracy; nie przyczynianie szkód pracodawcy; powstrzymanie się od wszelkich gwałtów w obronie swoich praw. Obowiązkiem pracodawców jest — wynagradzać właściwie robotników, nie krzywdzić ich, nie wyzyskiwać ich sił, zapewniać im wypoczynek świąteczny, dbać o ich obyczaje. Dobroczynność wypływa z przepisów Ewangelii, a polega na wspieraniu ubogich. Ubodzy nie powinni się wstydzić swego upośledzenia i nie powinni lekceważyć dobrodziejstw możnych.

= Uroczystość Trzech Króli zawsze jest w Rzymie obchodzoną solennie, przy pomocy nabożeństw, które trwają oktawę. Odbywają się te nabożeństwa głównie w kościele Ś-go Andrzeja, a to w ten sposób, że jednego dnia odprawia się tam Msza obrządku armeńskiego, drugiego — obrządku chaldejskiego, trzeciego — obrządku greckiego i tym podobnie. Stosownie do tego jest głoszone kazanie. Na kazania polskie zgromadzają się licznie rodacy nasi.

= Ojciec Ś-ty udzielić raczył posłuchania dziejopisom polskim, a mianowicie: Wincentemu Zakrzewskiemu z Krakowa, Władysławowi Abrahamowi ze Lwowa, Adamowi Darowskiemu, Kuntzemu i Ptaśnikowi. Ci zasłużeni uczeni zostali wysłani do Rzymu przez krakowską Akademię Umiejętności, aby dokonywali badań i poszukiwań dziejowych w niezmiernie bogatych zbiorach Watykanu. Przedstawił ich Ojcu Ś-mu msgr szambelan Bisleti. Naprzód przemówił po włosku Władysław Abraham. Wyłuszczywszy, że uczeni polscy wiele już skorzystali ze zbiorów watykańskich, prosił Ojca Ś-go o błogosławieństwo dla Akademii umiejętności, dla siebie i towarzyszów. Jego Świętobliwość odpowiedział serdecznie, pochwalił zabiegi krakowskiej Akademii i udzielił żądane błogosławieństwo.

= Skrzętnie zabiega Ojciec Ś-ty o wyrugowanie z kościołów muzyki świeckiej, to jest takiej, której melodye nie odpowiadają świętości

przybytków Bożych. Najwłaściwszemi dla kościołów katolickich są melodye, ułożone przez Ś-go Grzegorza Wielkiego. W tej mierze Jego-Świętobliwość ogłosił pismo, które niżej streszczamy: „Nabożeństwu chrześcijańskiemu nie sprzyja z pewnością muzyka świecka, podsyca ona ciekawość i gorszy. Dziwić się należy, iż tak długo cierpianą jest w świątyniach. Dlatego też chcemy, żeby to ustało zupełnie, żeby uroczystość nieszporna odbywała się ściśle według podanych przez Nas przepisów obrzędowych. Zwłoki tu być nie może. Niechaj wszyscy zaufają Nam i słowom Naszym, z któremi się łączy łaska i błogosławieństwo Nieba. Z początku nowość wywoła zdziwienie, ale z biegiem czasu rzecz się zmieni sama z siebie. Życzymy sobie, żeby muzykę kościelną pielęgnowano ze szczególną starannością we wszystkich duchownych seminaryach i kolegiach rzymskich, w których kształci się tak liczny i tak wybrany zastęp kleryków. Życzymy sobie, aby następnie ci młodzi klerycy rozpowszechniali wspaniałe melodye gregoryańskie w dyecezyach krajów rodzinnych. Cieszy nas to, że wydajemy te rozporządzenia w chwili, gdy się przygotowujemy do uroczystego obchodu tysiącznej trzechsetnej rocznicy śmierci Grzegorza Wielkiego.“

= Główna kierowniczka Sodalicyi (bractwa) Ś-go Piotra Klawera, Teresa hrabina Ledóchowska, została przyjęta przez Ojca Ś-go na posłuchaniu prywatnem. Sodalicya pracuje w Afryce, tam nawraca dzikie szczepy; przeto hrabina Ledóchowska złożyła Ojcu Ś-mu relacye z prac dokonanych i ofiarowała książki treści religijnej, ułożone w językach owych szczepów dzikich, a przeznaczone do rozpowszechnienia pomiędzy nowonawróconymi. Ojciec Ś-ty nader łaskawie przyjął hrabinę, udzielił Sodalicyi i jej pracom błogosławieństwo apostolskie.

= Podczas przyjęcia komitetu, który się zajmuje wzniesieniem z ofiar robotników wszystkich krajów pomnika dla Leona XIII, Ojciec Ś-ty powiedział, co następuje: „Ludzie powinni miłować się wzajem, Chrystus bowiem miłował ludzkość całą. Miłosierdzie, pochodzące z miłości chrześcijańskiej i sprawiedliwość, powinny podać sobie ręce. Tak działo się dawniej i tak powinno dziać się teraz. Lecz teraz słyszy się wiele o sprawiedliwości a mało o miłości chrześcijańskiej. Dochodzi do tego, że nieprzyjaciele nasi uznają tylko prawa swoje, zamiast żądać sprawiedliwości, a nawet nie szanuje się dzisiaj prawa posiadania i własności, które otrzymaliśmy od Boga Samego. To też serce nasze napełnia się radością, że tak wiele towarzystw katolickich robotników całego świata, w sposób tak uroczysty, chcą stwierdzić, iż uznają wskazania Wielkiego Poprzednika Naszego, fundując mu pomnik. Najchętniej

udzielam błogosławieństwo apostolskie tym wszystkim, którzy się tem dziełem zajmują, jak również ich rodzinom.“

= Cała kapituła Ś-go Piotra i seminaryum watykańskie dostąpiły zaszczytu posłuchania u Ojca Ś-go. Przewodnik zebranych, kardynał Rampolla, jako proboszcz bazyliki Ś-go Piotra, w przemówieniu swojem prosił Jego Świętobliwość, aby Swoją dobrocią ojcowską, zyskującą serca całego świata katolickiego, raczył również otoczyć oddaną Mu najszczerzej kapitułę watykańską. Ojciec Ś-ty odpowiedział bardzo serdecznie, następnie zszedł z tronu i przechadzał się pomiędzy zebranymi, rozmawiajac z nimi łaskawie, jako prawdziwy ojciec z dziećmi.

= Należy także zaznaczyć posłuchanie, udzielone przez Jego Świętobliwość Towarzystwu Ś-go Hieronima, które zawiązało się w obrębie Watykanu przed półtora rokiem. Celem Towarzystwa jest rozpowszechnianie czytania Ewangelii Ś-ej. Prezesem honorowym onego jest kardynał Mocenni, a rzeczywistym msgr Chiesa. Członkami Towarzystwa są duchowni i świeccy. Papież łaskawie przyjął wysłańców Towarzystwa, nazwał ich Apostołami Ewangelii, zachęcał do dalszej pracy, błogosławił pomyślnym ich usiłowaniom. Tuwarzystwo bowiem już rozpowszechniło 215 tysięcy książeczek, zawierających Ewangelię.

= Ksiądz Prawdzic Zajączkowski, proboszcz złotopolski i prefekt gimnazyum, ogłosił wzruszający opis posłuchania u Ojca Ś-go. Pomieszczamy ważniejsze z niego ustępy:

„Posłuchanie było naznaczone na godzinę 5 i $^1/_2$ po południu, w tak zwanych Łożach Rafaela, do których Ojciec Ś-ty wyszedł ze swoich apartamentów, otoczony przybocznymi prałatami, msgrem Bisletim na czele. Dużo już słyszałem o wyjątkowej dobroci i przystępności Piusa X, lecz to, com zobaczył, przewyższyło oczekiwanie. Na posłuchaniu było ze 600 osób, nie rachując zakonnic Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Otóż, Ojciec Ś-ty raczył się zbliżyć do każdego z obecnych i każdemu dał rękę do ucałowania. Gdy zbliżał się do mnie, otworzyłem puzdro ze starożytnym krzyżem, który miałem zamiar ofiarować Ojcu Ś-mu. Pius X najmiłościwiej raczył własnoręcznie wziąć ode mnie puzdro, na którem wykuty był ze srebra herb Ojca Ś-go, a wewnątrz, na białym atłasie napis po łacinie: *Świętemu Ojcu Naszemu, Piusowi X, kapłan — Polak: Ludomir Prawdzic Zajączkowski.* Ujrzawszy znajdujący się w pudle napierśny, pochodzący z IX wieku, krzyż-relikwiarz, Ojciec Święty raczył najmiłościwiej rzec po łacinie: —Dziękuję, dziękuję ci! — Poczem przyjąwszy własnoręcznie prześlicznie wypisane na pargaminie ofiarowanie (dzieło jednej z Sióstr Na-

zaretanek), w połowie po łacinie, a w połowie po polsku, raczył tuż na miejscu odczytać napis łaciński i zapytał mnie: w jakim języku jest druga połowa napisu. Odpowiedziałem, że w moim ojczystym, — polskim. Na to Ojciec Ś-ty rzekł: — Piękny to język, ale ja, niestety, nie nauczyłem się go. — Jeszcze parę minut miałem szczęście rozmawiać z Ojcem Ś-tym, który odchodząc, raz jeszcze wyrzekł: — Dziękukuję ci. — Przejęty zaszczytem, jaki mnie spotkał, zapomniałem Ojcu Ś-mu podać do pobłogosławienia różaniec, krzyże i medaliki, które miałem przy sobie. Otóż zuchwalstwo posunąłem do tyla, że zaszedłem drogę Ojcu Ś-mu i ukląkłszy, przedstawiłem rzecz całą. Z dobrotliwym uśmiechem, którego niepodobna nigdy zapomnieć, pobłogosławił przedstawione mu przedmioty, ponownie dał swą rękę do ucałowania, ponownie też błogosławił mnie, moją rodzinę i parafię. Po ukończonem posłuchaniu (jak o tem dowiedziałem się następnie od msgra Bisletiego) Ojciec Ś-ty, znawca i amator starożytności, pilnie obejrzawszy krzyż, rzekł do otaczających go prałatów: — Dar ten księdza-Polaka bardzo mi się podobał."

Ks. Zajączkowski uzyskał w dni kilka posłuchanie prywatne. — „Zawezwano mnie — pisze — westchnąłem do Matki Najświętszej i ufny w Jej orędownictwo, śmiało wszedłem do gabinetu Ojca Ś-go. Przy mojem wejściu, Ojciec Ś-ty raczył najmiłościwiej wstać, a gdy przyklęknąwszy po trzykroć, po ucałowaniu ręki Ojca Ś-go, schyliłem się, aby złożyć pocałunek na stopie i podaną rękę Papieża znów gorąco ucałowałem, rzekł Pius X z łaskawym uśmiechem: — Siadaj. — Siedzieć wobec Papieża proboszczowi — toć rzecz niesłychana! To też odpowiedziałem: — Dziękuję, Ojcze Najświętszy. — A gdy na powtórne powiedzenie: — Siadaj, mój synu — prosiłem, by mi wolno było klęcząc odbyć audyencyę, z uśmiechem Pius X wziął mnie za rękę i podniósłszy z ziemi, usadowił na fotelu, tuż obok siebie. Rozpoczęła się rozmowa tak łatwa, takie wylanie uczuć i myśli, że nigdy o czem podobnem nie mogłem nawet zamarzyć. Między innemi Ojciec Ś-ty wzmiankował, iż doniesiono mu, jakoby w polskim narodzie wiara prawie zagasła. Ośmieliłem się temu zaprzeczyć, a na poparcie mych słów przytoczyłem pewne dane. Pius X wzniósł oczy ku krucyfiksowi, zawieszonemu naprzeciw biurka, i złożywszy ręce do modlitwy, rzekł z rozczuleniem: — Dziękiż Bogu! Mówiono mi, co prawda, o upadku u was wiary, lecz nie chciałem temu wierzyć, bo pamiętam, kiedym po raz pierwszy przybył do Rzymu, do Ojca Ś-go Piusa IX, zastałem tu polską pielgrzymkę, z kardynałem Ledóchowskim na czele. Otuż Pius IX rozpoczął swą przemowę do Polaków w te słowa: — Polska, zawsze wierna Kościołowi — i słowa te, w ciągu swej mowy, razy kilka powtórzył. Słyszałem te słowa, zapamiętałem je, sprawdzałem i przekonałem się, iż

istotnie Polska zawsze jest wierna Kościołowi. To też chociaż mówiono mi inaczej, nie chciałem temu wierzyć.“

Posłuchanie trwało przeszło kwadrans. Ojciec Ś-ty rozpytawszy się ks. Zajączkowskiego o stosunki nasze, wstał i rzekł: — Powiedz swoim rodakom, że ich kocham, błogosławię, modlę się za nich i proszę, żeby oni modlili się za mnie; żebyśmy krzyże nasze spólnie z cierpliwością znosili. — Błogosławił znów ks. Zajączkowskiego, nakazał mu udzielić solennie błogosławieństwo apostolskie parafianom, a przypomniawszy sobie, że ks. Zajączkowski jest oraz prefektem gimnazyum, dodał:—A nie zapomnij pobłogosławić i uczniów swoich!

= Ojciec Burtin, prokurator zakonu Ojców Białych, założonego w Afryce celem nawracania Murzynów i tępienia niewolnictwa, przedstawiał na posłuchaniu Ojcu Ś-mu młodego Murzyna, który przybył do Rzymu, aby w jednem z tamtejszych seminaryów kształcić się na kapłana. Jego Świętobliwość spojrzał w oczy młodzieńcowi, nakreślił na czole jego znak Krzyża Ś-go i rzekł: — Z tem będziesz silnym! — Potem położył na jego kędzierzawych włosach obydwie ręce, modlitwą błagał Boga o szczególne błogosławieństwo dla tego przyszłego kapłana. Murzyn w milczeniu przypatrywał się Piusowi X. Kiedy go po posłuchaniu zapytano, jakiego wrażenia doznał, odparł: — Zdaje mi się, że niema na ziemi osoby, która z tą mogłaby się porównać. Tyle razy usiłowałem sobie wyobrazić, jak wyglądał Chrystus Pan, kiedy żył na ziemi, a zawsze daremnie. Teraz zdaje mi się, żem Go widział.

= Ojciec Ś-ty otrzymał obliczenie, dokonane przez Ojca Kroze, ze zgromadzenia Jezuitów. Obliczenie dotyczy katolików. Według niego, ogólna liczba wszystkich katolików, na całym świecie, wynosi — 264 miliony, 505 tysięcy, 922.

= Trzej kapłani, umęczeni za wiarę w Koszycach, na Węgrzech, 7 września 1619 roku, zostaną niebawem zaliczeni przez Ojca Ś-go do pocztu Świętych Pańskich. Pierwszym z nich jest Chorwat, — ksiądz Marek Stefan Kriż, urodzony r. 1584 w Kriżewaczu, dyecezyi zagrzebskiej. Drugim Ojciec Stefan Pongracz, Węgier, z zakonu Jezuitów, urodzony r. 1582 w Siedmiogrodzie. Trzecim jest Polak — Ojciec Melchior Grodecki, również z zakonu Jezuitów, szlachcic herbu Radwan, urodzony w Cieszynie 1584 r. Rodzina Radwan Grodeckich wywodzi się z Gródka pod Lwowem, skąd jedna jej gałęź przeniosła się na Morawy i Śląsk. Ojciec Melchior Grodecki był albo bratankiem, albo stryjecznym wnukiem Jana Grodeckiego, filozofa i prawnika, który wydał dzieła Ś-go Cyryla jerozolimskiego, następnie był dziekanem katedry

w Ołumuńcu, prepozytem kapituły w Bernie, wreszcie w r. 1572 biskupem w Ołomuńcu. Ojca Melchiora Grodeckiego, jako młodego kapłana, znającego biegle języki słowiańskie i niemiecki, wysłano w czasie rozruchów kalwińskich do Koszyc, gdzie miał pełnić obowiązki kapelana przy wojsku cesarskiem. Aliści schwytany przez heretyków, został po umęczeniu zamordowany, razem z Ojcem Pongraczem i księdzem kanonikiem Markiem Križem, za stałość w wierze katolickiej.

Z Będzina. Niezwykle wspaniałym pogrzebem żegnali pod koniec roku ubiegłego mieszkańcy Będzina proboszcza i dziekana swego, ś. p. ks. Leopolda Dobrzańskiego, prałata kapituły kieleckiej, który też przez lat wiele z kazalnicy katedry kieleckiej naukę Bożą wymownemi usty rozszerzał. Zgromadzili się na ten obrzęd żałobny bardzo licznie, a nie szczędzili niczego, co ku uświetnieniu onego posłużyćby mogło. Wśród tłumów, do kilku tysięcy dochodzących, znajdowało się oraz kilkudziesięciu kapłanów, którzy z dalekich nawet przybywając okolic, dali piękny przykład szlachetnych uczuć koleżeństwa i duchowego braterstwa. Mimo tak tłumnego napływu, ceremonie żałobne odbyły się we wzorowym porządku, a to zawdzięczać należy górnikom i ochotnikom straży ogniowej, im bowiem utrzymywanie rygoru przypadło. Nabożeństwem żałobnem kierował ks. Brudzyński, oficyał, prałat i dziekan kapituły kieleckiej; zasługi zmarłego sławili księża proboszcze: Czapla, Czerwiński i Urbański. A były poważne one zasługi, w plon Bogu miły obfite. Ś. p. ks. Leopold Dobrzański przez lat pięćdziesiąt pracy w świętem powołaniu kapłańskiem okazał się godnym następcą Apostołów, okazał wielkie umiłowanie Chrystusa, wielkie poświęcenie się dla Jego Kościoła, żelazny hart duszy w spełnianiu obowiązków.

Urodził się w Budziszowicach, w Pińczowskiem, 1831 r., pod szlachecką strzechą. Bogobojni jego rodzice, Józef i Aniela z Puchackich małżonkowie Dobrzańscy, starali się synaczkowi dać wykształcenie takie, przy którem piękne jego zdolności szerzej mogłyby się rozwinąć. Uczył się tedy Leopold naprzód w Pińczowie, potem w Radomiu, dopóki groźna choroba oczu nie zmusiła go na czas pewien zaniechać ślęczenia nad książką. Zabiegliwość lekarzy usunęła to cierpienie, Leopold wtedy, uczuwszy powołanie, wstąpił do seminaryum duchownego w Kielcach, które ukończył w r. 1853. Otrzymawszy święcenia kapłańskie, pracował w konsystorzu, jako sekretarz, oraz pełnił obowiązki kapelana szpitala i więzienia. Kapelanię zmienił na wikaryat przy kolegiacie kieleckiej; w r. 1856 został podkustoszem kolegiaty; w rok potem rozpoczął pracę parafialną w Więcławicach. Po latach

czternastu, widzimy go w Wawrzeńczycach; w r. 1872 osiada, jako proboszcz i dziekan, w Będzinie, gdzie pozostaje już do zgonu. Atoli władza duchowna, oceniając jego zasługi, mianuje go w r. 1876 kanonikiem kaznodzieją starodawnej katedry kieleckiej, a następnie zaszczyca go wysoką godnością prałata kapitułu kieleckiej. Tak tedy, na działalność kapłańską ś. p. ks. Dobrzańskiego złożyły się: 4 lata pracy w konsystorzu, 14 lat pasterstwa wśród ludu wiejskiego, 30 lat pracy wśród ludności fabrycznej i przemysłowej; do ostatniego okresu należy dołączyć obowiązki kaznodziejstwa katedralnego, które trwały lat 18.

Wizerunek duchowy ś. p. ks. Dobrzańskiego skreślił wyraziście, niepospolitej miary kaznodzieja, ks. kanonik Czerwiński, w świetnej mowie pogrzebowej. Pomiędzy innemi nadmienił, że dom rodzinny zmarłego kapłana, w Budziszowicach, cieszył się mianem i tradycyą domu zacnego, domu z przekonania i praktyki chrześcijańskiego. Nie dziwna też, że w takim domu powołanie duchowne znalazło poparcie i utrwalenie zarówno w ks. Leopoldzie, jak i w siostrze jego, Stanisławie, zakonnicy Klaryski, na górze Ś-ej Katarzyny, za Kielcami. Czasy młodości ks. Leopolda przypadły na okres wielkiego u nas upadku ducha i charakterów. Wiedział on o tem, przeto obrawszy stan duchowny, dla dobra własnego, dla pomyślności rodziny i dla tem stateczniejszego oddziaływania na społeczeństwo, przygotowywał się do niego ochoczem poddawaniem się zasadom dobrego wychowania, oraz pilną nauką, szkolną i seminaryjną. Rozmiłował się w kapłaństwie Chrystusowem: kapłaństwie nauki, kapłaństwie cnoty, kapłaństwie poświęcenia dla bliźnich, kapłaństwie zabiegów o dobro maluczkich, kapłaństwie serca. I dobrze mu było z tem kapłaństwem, o czem świadczy chwalebny jego żywot. Wszędzie chlubną pamięć po sobie zostawił. Zabiegając usilnie o chwałę Bożą i zbawienie dusz powierzonych sobie owieczek, — był nadto dla spółkolegów, sąsiadów i młodszych kapłanów, swoich pomocników, najżyczliwszym ojcem i bratem. „Żył — są słowa mowcy żałobnego — dla drugich, dlatego też kasa jego nigdy się nie przepełniała. Rodzina miała w nim wybranego najczulszego dobroczyńcę. W domu jego dzielono się spólnie radością i powodzeniem, szukano pociechy i światła w troskach życiowych. Wszystkie prawie momenta życia rodzinnego licznych jego krewnych, w jego domu były rozstrzygane, głos jego i rada były dla wszystkich ostatecznym dekretem. Ś. p. ksiądz Dobrzański był kapłanem zbawiennego wpływu.“

W smutku swoim, w żalu po stracie ukochanego pasterza, uwielbianego przewodnika duchowego, mieszkańcy Będzina zostali pocieszeni, gdyż władza duchowna przeznaczyła im godnego ś. p. ks. Dobrzańskiego następcę w ks. kanoniku Teodorze Czerwińskim. Kapłan ten

łączy w czcigodnej osobie swojej cnoty świętobliwego dusz pasterza i zacnego obywatela. Urodzony w roku 1841, chlubnie ukończywszy seminaryum i akademię duchowną, rozpoczął pracę kapłańską, jako wikaryusz w Miechowie. Przeniesiony do Kielc, pozostawał tam blizko 22 lata, spełniając obok obowiązków kapłańskich nauczycielskie. Nauczał tedy religii w gimnazyum męskiem, na pensyach pani Borkowskiej i p. Hillera, a nawet w progimnazyum żeńskiem. Młodzież, dobrem przeczuciem wiedziona, lgnęła do niego, szanowała go i kochała, dając mu tem samem najlepsze świadectwo wzorowego i umiejętnego siewcy zdrowego ziarna. Wśród tej młodzieży ks. Czerwiński trwałą i wdzięczną pamięć zostawił. Wychowańcy jego wspominają o złotem sercu, o niewyczerpanej dobroci i słodyczy ukochanego prefekta. W Kielcach też pracując, skorzystał z prowadzonej wtedy budowy nowego kościoła Ś-go Wojciecha, opisał dawny kościół pod wezwaniem tego Apostoła-Męczennika i budowę nowego.

Osiadłszy następnie w Skalmierzu (tu nawiasem powiemy, że to niegdyś miasteczko, a dziś osada, w powiecie pińczowskim, nad rzeką Nidzicą położona, powinno się nazywać *Skarbimierzem*, gdyż tak ją dawne dokumenta nazywają: *Scarbimiria*; z biegiem czasu nazwę zmieniono i już w XIV stuleciu czytamy o *Scalmirii*; obecnie rozmaicie tę nazwę piszą: *Skalmierz*, *Skalbmierz*, *Szkarmierz*; pierwszą uważamy za najwłaściwszą), — otóż ks. Czerwiński, osiadłszy w Skalmierzu, rozpoczął działalność, wystawiając poprzednikowi swemu, ś. p. ks. Gasińskiemu, pomnik w tamtejszym kościele, gdyż kapłan ten kościół rzeczony od ruiny niechybnej ocalił. W Skalmierzu również pracując, przyczynił się do rozpowszechnienia czci Ś-go Wojciecha, kosztem własnym bowiem wydał 20 tysięcy egzemplarzy pieśni „Bogarodzica Dziewica“, której autorstwo dziejopisowie przypisują Ś-mu Wojciechowi, i rozdał te książeczki pomiędzy parafian, z okazyi dziewięćsetnej rocznicy męczeństwa Ś-go Wojciecha. Obecnie ten najstarszy hymn polski śpiewają w Skalmierzu i okolicy wszyscy, i starzy, i młodzi.

Na przełomie wieków, to jest, aby upamiętnić początek nowego, XX stulecia, uczcił Jezusa Chrystusa, Pana i Zbawiciela naszego, wydając książeczkę pod tytułem: „Uczty Ewangelicznej oczekiwanie.“ Celem upamiętnienia pięćsetnej rocznicy założenia Akademii krakowskiej, opracował i drukiem ogłosił cenną rzecz o szkołach w ogólności, przed narodzeniem i po narodzeniu Chrystusa, a w szczególności o szkołach w Polsce chrześcijańskiej. W pracy tej uwzględnił fundacyę szkolną Kazimierza Wielkiego i Jagielońską. Ponieważ Skalmierz jest kolebką słynnego Stanisława Skalmierczyka, profesora i rektora Akademii krakowskiej (kosztem królowej Jadwigi ćwiczył się ten mąż uczony w Pradze, w teologii i prawie kanonicznem, gdzie też naprzód został bakała-

rzym w r. 1392; w Paryżu otrzymał stopień magistra teologii; wróciwszy do kraju, pierwszy z Polaków wykładał w Akademii krakowskiej pięć ksiąg dekretaliów, które cennemi objaśnieniami zaopatrzył; umarł w Krakowie, 1431 r.),—przeto ks. kan. Czerwiński wystawił mu w skalmierskim kościele pomnik i opracował jego życiorys, dołączając do niego



Ks. kanonik Teodor Czerwiński, proboszcz będziński, dyecezyi kieleckiej.

dwie jego mowy: na otwarcie Akademii w Krakowie i nad trumną królowej Jadwigi; nadto polecił wykonac słynnemu artyście rzeźbiarzowi, Welońskiemu, popiersie Skalmierczyka z bronzu, w kilku sztukach i ofiarował je: Akademii krakowskiej, szkole w Skalmierzu i seminaryum duchownemu w Kielcach

Dla kościoła w Skalmierzu kosztem własnym sprawił trzy cenne obrazy; również za jego rządów parafią tamtejszą przelane zostały dwa dzwony kościelne; zbudowano dom dla służby kościelnej, przebudowano plebanię; odnowiono wikaryat; wykończono drugą przy kościele wieżę; dach kościoła pokryto dachówką trwałą, zagraniczną; kościół otrzymał wiele bogatych aparatów, chorągwie, sztandary relikwiarze, kandelabry. Zamierzył też ks. kan. Czerwiński przyozdobić kościół rzeczony szeregiem okien, z malowidłami, wyobrażającemi Ś-tych Patronów i jedno takie okno, z wizerunkiem Ś-tych Cyryla i Metodego, już osadzono. Zaprowadził ks. kan. Czerwiński w parafii nabożeństwo do Serca Pana Jezusa, różne Nowenny, częste Komunię Ś-te, — słowem znacznie podniósł pobożność i umocnił wiarę. Władza duchowna, oceniając niepospolite zdolności i gorliwość księdza Czerwińskiego, okazywane na każdym kroku, w każdej sprawie, w każdem przedsięwzięciu, wyniosła go do godności kieleckiego kanonika katedralnego. Czcigodny nominat obowiązki do tej godności przywiązane, wypełnia z chlubnym zapałem, z apostolskiem przejęciem się i poświęceniem.

Nie należy pominąć, iż ks. Czerwiński lat sześć spędził w Petersburgu, gdzie również zasługi położył, obsługując kaplicę w Gatczynie, którą szczegółowo opisał, pełniąc obowiązki religijne w schronisku dla sierot i pomagając tamtejszym kapłanom katolickim w dusz pasterstwie.

Tak gorliwego, światłego i zabiegliwego dusz pasterza pozyskali mieszkańcy Będzina, mogą przeto nazwać się szczęśliwymi. Czcigodny kapłan podniesie ich serca, stanie się, jak był wszędzie, błogosławionym siewcą nauki Chrystusa, stanie się ich duchowem wsparciem i obroną. Przeto powinni z nim spółdziałać wszelkiemi siłami, powinni garnąć się do niego z ufnością i miłością synowską. I tak się stanie niewątpliwie. Czcigodny ks. kan. Czerwiński posiada w sobie ową moc, która z Bożego natchnienia płynąc, jedna serca, skłania je ku sobie; posiada też doświadczenie przez długie lata nabyte; posiada wiedzę głęboką; posiada charakter prawy, nieskazitelny, zacny i ową wolę niezłomną, która najtwardsze zapory kruszy. Jednocząc w sobie tyle wzniosłych zalet, stanie się dobrodziejem owieczek swoich, czego mu serdecznie życzymy.

Ks. A.

Z Lublina. Dzięki staraniom Szanownego ks. rektora Kłopotowskiego „Dom zarobkowy“ pomyślnie się rozwija, co tem więcej należy podziwiać, iż rozporządza nader małymi środkami. Obecnie przebywa tam sześćdziesiąt dzieci, które od lat najmłodszych zaprawiają się do pracy, ucząc się różnych rzemiosł, jako krawiectwa, szewctwa stolarstwa i t. p. Przy Domu zarobkowym jest tania kuchnia, w której biedacy dostają

ciepłą strawę, płacąc za obiad po trzy kopiejki, a za szklankę herbaty po kopiejce. Dla bezdomnych urządzono przytułek, w którym ci nieszczęśliwi znajdują kąt ciepły i suchy. Z trudem wielkim to wszystko się utrzymuje, bo jak piszą nam stamtąd, „funduszów stałych nie mamy; zbieramy po mieście odpadki, które nam dają paręset rubli, pieczemy na sprzedaż chleb, co nam prawie daje chleb dla domu — mamy trochę roli, która nam daje kartofle, kapustę etc. — coś zbieramy ze sprzedaży broszurek w tym celu wydawanych, resztę daje Opatrzność, a raczej — wszystko daje nam Opatrzność, której zaufaliśmy. Mamy również pod swoją opieką przytułek Ś-go Antoniego dla upadłych kobiet, których teraz mamy 52.“

Redakcya „Dzwonka Częstochowskiego“ broszurki wyżej wspomniane posiada na składzie. Wykaz ich wraz z cenami znajdzie czytelnik w ogłoszeniach.

W sprawie pielgrzymki do Rzymu. Dodatkowo komitet ogłasza, że przyłączać się do pielgrzymki można będzie: w Boguminie (Oderberg), we Wiedniu i w Pontebbie. Wsiadający w Boguminie płacą taką samą kwotę, jak wsiadający w Krakowie. Przyłączający się we Wiedniu zapłacą: za III kl. 150 kor., za II kl. 242 kor., za I kl. 320 kor. Przyłączający się w Pentebbie zapłacą: za III kl. 134 kor., za II kl. 216 kor., za I kl. 270 kor. Od Pontebby mogą się do pielgrzymki przyłączyć i tacy, którzy mają wolny bilet jazdy aż do Rzymu. (Na kolejach austryackich jest to nie możliwem) i ci zapłaciliby: za III kl. 92 kor., za II kl. 148 kor., za I kl. 174 kor. W końcu zwracamy uwagę, że w wielu ogłoszeniach pierwotnych mylnie podano cenę biletu I kl. 360 zamiast, jak jest w rzeczywistości 380 koron

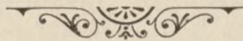
Przemyśl, 5 marca 1904. Komitet pielgrzymki Maryańskiej.

Ziemia Święta. W ubogiej mieścinie Emaus, niedawno zbudowano piękny kościół, pod wezwaniem Ś-go Kleofasa. W czasie bytności w Ziemi Świętej pielgrzymki włoskiej, którą prowadził kardynał Ferrari, arcybiskup medyolański, kościół ten został poświęcony, a aktu poświęcenia dopełnił sam kardynał. Na powitanie dostojnika Kościoła miasteczko przystroiło się w chorągwie i wieńce, skoro się ukazał, odezwały się dzwony, zaczęto strzelać z moździerzy. Duchowieństwo zebrało się licznie, a także wystąpili tłumnie wierni. Władze rządowe: francuskie, włoskie, hiszpańskie i niemieckie znalazły się w komplecie. Po skończonej ceremonii, dostojnego gościa przyjmowano w refektarzu klasztoru Ojców Franciszkanów. Również w ostatnich czasach utworzono w Ziemi Świętej wiele urządzeń katolickich, aby przeciwdziałać protestantom, którzy wikłają ludność miejscową w swoje błędy, a nawet

tak są zuchwali, iż zakładają szkoły dla dziatwy w tych miejscowościach, gdzie już istnieją szkoły katolickie.

Ś. p. Józefa z Bąkowskich 1-o voto Sielecka 2-o voto Tarnowska, zmarła w Świątkowicach, w Wieluńskiem, d. 20 listopada 1903 r., przeżywszy lat 65, opatrzona ŚŚ. Sakramentami.

Wzór najzacniejszej matrony polskiej, uczynnej sąsiadki i prawdziwie szlachetnej obywatelki kraju, żony i matki przybranych dzieci. Jako dobra chrześcijanka, opieką swą otaczała nietylko najbliższych, ale i lud wiejski, który czy to w chorobie, czy w kłopocie jakimkolwiek, śmiało dążył do dworu, znajdując tam zawsze radę i pomoc w każdej potrzebie. Wogóle ktokolwiek miał szczęście zbliżyć się do niej, ten niechybnie przekonać się musiał, iż „złotem" było to serce, przepełnione miłością Boga i bliźniego. Niechaj lekką będzie jej ta ziemia, którą tak gorąco ukochała — a światłość wiekuista, niechaj jej świeci, bo całe życie miłowała tę światłość.



Ja wierzę!...

Jak smutno, jak głucho i pusto dokoła,
Zawieja na dworze, płacz słychać wśród sioła,
Wiatr z jękiem o szyby uderza i płacze,
Jak gdyby na życie swe biadał tułacze,
Jak gdyby przyrodzie hymn nucił żałosny,
Jak gdyby wciąż rwał się i tęsknił do wiosny.
W mem sercu sierocem znów burza szaleje,
Potargał się zapał i kwiaty — nadzieje,
Lecz wiara została, o, ta nie zagaśnie,
To iskra jest Boża, co świeci przejaśnie!
I ona jedyna mi życie umila,
To życie tak krótkie człowieka — motyla.
Ja wierzę, że dobro zwycięży na ziemi,
Że ludzkość iść zacznie drogami jasnemi,
Że zginie na wieki nieprawości morze,
I wtedy to będzie królestwo Twe, Boże!

Lucyna Parnowska.



Książki nadesłane do Redakcyi.

„Któryś za nas cierpiał rany" — treściwy opis Męki Pańskiej ku pobożnemu czytaniu i rozmyślaniu skreślił *ks. Maryan Nitecki.* Łódź, 1904, wydanie drugie — czcionkami drukarni narodowej w Krakowie. Stronic 128.

Autor żywem i barwnem słowem maluje ostatnie chwile Zbawiciela na ziemi i Jego śmierć na krzyżu, przeplatając te wstrząsające grozą i żalem obrazy uwagami, skierowanemi do podniesienia w czytelniku wiary i miłości ku Panu.

Spora objętość książeczki, druk staranny i wyraźny, przy cenie zniżonej (30 kop. za egzemplarz) pozwalają mniemać, że wydanie to, podobnie, jak pierwsze, w krótkim czasie zostanie wyczerpane.

Obecne wydanie zostało powiększone dodatkiem: Gorzkich Żali.

Miesiąc Bogarodzicy czyli majowe nabożeństwo, czytaniami z życia Najświętszej Maryi Panny uświęcone, przez *ks. A. Brykczyńskiego.* Warszawa — 1904:



Od Redakcyi.

Szanownemu ks. T. Gryszce, w Ameryce. Serce nam się rozradowało, czytając Wasz zacny list. Prośby Wasze zanieśliśmy w pokorze do stóp Najświętszej Panny Częstochowskiej, dodając jeszcze strzelistą modlitwę, aby Królowa Niebios słała na was tysiące łask i błogosławieństw. Za pamięć o dalekich współbraciach dziękujemy, cieszymy się nadzieją, iż po wielu latach tułaczki na obczyznie, może Bóg Najwyższy zezwoli nam wspólnie przepędzić dzień wigilijny! Błagajmy Go o to!

Szanownemu ks. Żydanow. w Luz. Światłe rady Czcigodnego ks. Dobrodzieja weźmiemy pod uwagę, za popieranie czynem pracy naszej dziękujemy. Ufamy, że w ciężkich Waszych doświadczeniach najlepszą Pocieszycielką będzie Matka Boska Częstochowska.

W-nemu P. Wandal. w Czer., gub. Łomż. Mając dużo utworów w tece, może później skorzystamy z przesłanego nam wiersza.

W-nemu P. Nowac. w War. na Pr. Z miłą chęcią wysyłamy żądany obraz. Niech wizerunek bohaterskiego męża roznieca w sercach młodzieży miłość do szczytnych ideałów. Za waszą pożyteczną działalność przesyłamy Wam słowa uznania.

Szanownemu ks. Gut. w Bycz. Premium z 1903 r. wysłaliśmy. Dziękujemy bardzo za tyle szczerej przyjaźni.

W-nemu P. J. Chrzanow. w Brud. pod War. Życzenie Pana spełniliśmy. Za tak gorliwe popieranie naszego pisma Najświętsza Panienka wynagrodzi, gdyż wspólnie działamy na Jej chwałę.

Szanownemu ks. J. Wiecz. w Ciep. Z nadesłanych utworów skorzystamy. Dziękujemy za życzenia i polecamy się łaskawej pamięci.

W-nemu P. I. Szafir. w Kur. Żądanie pańskie spełnimy. Dokładamy wszelkich starań, aby wnosić w zwątpiałe dusze ludzkie słowa religijnej pociechy i rozbudzać wiarę w lepszą przyszłość.

W-nej Pani T. Brzozow. w Bar., gub. Podol. Wspierajmy się wspólnie w niesieniu ulgi opuszczonym, a w zadowoleniu naszego serca znajdziemy nagrodę.

W-nej Pani T. Parczew. w Tyfl. W modlitwach naszych do Panienki Jasnogórskiej polecamy dalekich, lecz bardzo blizkich naszemu sercu — i żywimy nadzieję, iż prośby nasze zostaną wysłuchane.

Czcigodnemu ks. kanonik. K. Rola Chruś. w Kijowie. Oby słowa Czcigodnego ks. kanonika proroczemi były! Pracujemy w tej wierze, iż głos „Dzwonka Częstochowskiego“ obudzi zamarłe echa w duszach ludzkich, — w modlitwach naszych zanosimy błagania do stóp Przedwiecznego, aby dozwolił zdrowia ks. kanonikowi aby doczekał tej błogiej chwili, gdy wszystkie serca będą żyły jedną myślą tylko — czci Najświętszej Panienki.

W-nemu P. J. Nowiń. w Klimont., gub. Rad. „Dzwonek Częstochowski“ wrześniowy, z roku 1901, zupałnie wyczerpany. Najwyższą dla nas nagrodą jest świadomość, iż cieszymy się bratnią miłością i uznaniem wśród szerokiego koła naszych czytelników.

Szanownemu ks. J. Aleksandrow. w Chab., gub. Kijow. Niech Duch Ś-ty wezwany przez Szanownego księdza Dobrodzieja oświeca nam drogę i utrwala w wierze społeczeństwo nasze.

W-nemu P. S. Grzyw. w Kap., gub. Rad. Komplet wysłany. Mamy nadzieję, iż Bóg udzieli nam sił w pracy dla dobra ugółu.

Szanownemu ks. M. Jezier. w Miech. Perdecznie dziękujemy za tak miłe słowa zachęty dla „Dzwonka Częstochowskiego“.

Szanownemu ks. L. Tuzin. w Berest., gub. Wileń. Za błogosławieństwo niech Matka Najświętsza wynagrodzi. Żądanie spełniliśmy.

W-nemu P. J. Gradom. w Konstant. Cieszymy się niezmiernie, iż „Dzwonek Częstochowski“ wnosi w serca radość i otuchę.

Czcigodnym księżom kanonikom: Czajew. w Łow., F. Żukow. w Bejs., F. Ur. w Busku. Za serdeczne życzenia dziękujemy.

W-nym P. P. J. Kul. w Mor., gub. Lubel., K. Śliwiń., F. Olejn. w Żarn., J. Kotyl. w Kijowie, M. Wasilew. w Berd., K. Tomcz. Żądania spełniliśmy, za życzenia „Bóg zapłać!“

W-nemu P. K. Ziel. w Sob. Z przysłanego nam wiersza postaramy się skorzystać w przyszłości.

W-nemu P. I. Nowic. Talent Bóg dał, tylko więcej pracy panu zalecamy i ślemy życzenia wytrwałości.

W-nemu P. W. Czep. Serdecznie dziękujemy za życzenia. Niech Was Bóg wspiera i Matka Boska Częstochowska. Przyjmijcie od nas pozdrowienie. Co do sposobu oprawienia — lepiej w 4 książki po 3 tomy. Wiadomego pisma nie doradzamy; nie uważamy go za odpowiednie. Przekaz otrzymaliśmy.

W-nej Pani P. Jaszcz. w Petersb. Przykro nam, że Sz. Pani otrzymała parę tomów uszkodzonych, — wszelako nie nasza w tem wina: myśmy je wysłali w całości i czyste. Możemy Sz. Pani wysłać świeże egzemplarze, nawet po cenie zniżonej, ale prosimy o wskazanie, których potrzeba.

Szanownemu ks. E. Szczep. w St Z nadesłanych 2 rubli 40 kop. policzyliśmy rubla za zeszłoroczne premia i 1 rubla na oprawę. Brak jeszcze na oprawę do końca roku 20 kop Premium tegoroczne wyślemy niezwłocznie po wykończeniu.

Szanownemu ks. Kras. w B. Za tak skuteczną protekcyę dziękujemy najserdeczniej. Rachunek za rok zeszły uregulowany.

W-nemu P. A Maz. w Kaliszu. Obrazki są na różne ceny, ale nie wszystkich można dostać z tych, które Pan wymienia.

Szanownemu ks. L. Macher. w Ros. Stokrotne dzięki za pamięć łaskawą o nas i za uznanie dla naszej pracy. „Dzwonek Częstochowski“ przesyłać będziemy w oprawie. Prenumerata opłacona do 1 lipca roku bieżącego.

W-nemu P. Z Czysz. w Kal. Premium tegoroczne jeszcze nie gotowe, — skoro tylko zostanie wykończone, prześlemy je Szanownemu Panu niezwłocznie.

W-nemu P. J. Niet. w Zar. Bóg zapłać za życzenia! Prenumerata opłacona do 1 stycznia r. 1905. Przesyłka tegorocznego premium wyniesie 40 kop., — za tom czerwcowy z przesyłką liczymy 35 kop.

Szanownemu ks. Gniazd. w P. Adres zmieniony. Prenumerata opłaconą do 1 stycznia r. b.

W-nemu P. J. Jaw. w Łucku Przekaz otrzymaliśmy.

W-nemu P. W. Okul. w Sosn. Za prenumeratę w roku 1903 należy się nam 3 rb. 64 kop.

W-nemu P. F. Zgier. w L. Premium wyślemy Sz. Panu, jak tylko zostanie wykończone.

W-nej Pani F. Les. w Od. Dziękujemy uprzejmie za gorliwe współdziałanie w celu rozszerzania chwały Maryi. Życzenie Szanownej Pani spełniliśmy niezwłocznie.

W-nemu P. W. Surw. w Wil. Uprzejmie dziękujemy za pamięć i życzliwość. Pismo posyłamy bez przerwy. Rachunek za r. 1902 i 1903 wynosi 4 ruble.

Szanownemu ks. B. Pień. w Czel. Najserdeczniejsze ślemy podziękowanie za słowa uznania i zachęty. Rachunek uregulowany za czas do 1 stycznia r. b.

Szanownemu ks. A. Kucz. w Ostr. Przekaz otrzymaliśmy i zapisaliśmy na rok 1904. Dawniejszy rachunek do 1 stycznia roku bieżącego wynosi rb. 6.

W-nemu P. J. Gz. w C. Siole. Przekaz otrzymaliśmy. „Dzwonek Częstochowski“ posyłamy do stycznia.

W-nemu P. S. Mal. w Choc. Przekaz pieniężny otrzymaliśmy. „Dzwonek Częstochowski“ dla p. N. wstrzymany. Za tom styczniowy liczymy 35 kop. Dziękujemy za życzliwość.

J. W-nemu P. P. Skórz. w Ch. Tom styczniowy w oprawie wysłany. Przepraszamy za pomyłkę. Z otrzymanych przekazem 7 rb. 60 kop. zapisaliśmy na „Dzwonek Częstochowski“ w oprawie 5 rb. 20 kop., na przesyłkę tegorocznego premium 40 kop., a 1 rb. 10 kop. pozostało dla biednych.

W-nemu P. J. Urb. w Boch. Fotografii, o którą Szanownemu Panu idzie, nie było w „Dzwonku Częstochowskim“. Kliszy poszukamy w wolniejszej chwili.

W-nemu P. J. Kob. w South. Chicago. Z banku chicagowskiego „Clausenius & C-o“ otrzymaliśmy za pośrednictwem firmy „Sontag i Martini“ w Berlinie rb. 6, ale dotychczas nie mamy stamtąd odpowiedzi na zapytanie, kto podał dla przesłania nam owe 6 rubli. Czy nie są to pieniądze, wysłane przez Sz. Pana?

W-nemu P. D. Bral. w Biał. Za 3 egzemplarze „Dzwonka Częstochowskiego“, wysyłane pod adresem J. Krzyw., należy się nam 12 rb.

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego“ upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi Królowej Nieba i ziemi poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski“.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa, pod Jasną Górą.



5 tomów „Historyi Literatury Polskiej"
STANISŁAWA TARNOWSKIEGO bezpłatnie!

SŁOWO

DZIENNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY, LITERACKI I EKONOMICZNY

wychodzi codziennie, prócz świąt, w Warszawie (Warecka 15).

REDAKTOR	WYDAWCA
Antoni Donimirski.	**Paweł Górski.**

Do składu Redakcyi należą: dr. **Witold Lewicki. Kazimierz Puffke, Ignacy Baliński, Henryk Opieński, Henryk Piątkowski,** dr. **J. Bandrowski, Józef Zarembski, Stanisław Bosakowski, Bruno Wincenty Korotyński i Eugenia Żmijewska,** jako stali członkowie Redakcyi, oraz p.p. **St. Koźmian** (Wiedeń), **K Waliszewski** (Paryż), dr. **Ritner** (Wiedeń), **Mścisław Edgar Trepka** (Londyn), **Adam Darowski** (Rzym), dr. **Jan Karkowski** (Berlin , jako stali korespondenci z głównych stolic zagranicznych.

Prócz tego **„Słowo"** zalicza szereg **najwybitniejszych pisarzy polskich** do spółpracowników swoich stałych i przygodnie pismo zasilających.

„Słowo" pomieszcza w każdym numerze **artykuły wstępne,** rozumowane, polityczne i społeczne, **korespondencye** ze wszystkich stolic zagr. obfitą kronikę prowincyonalną i krajową.

„Słowo" zamieszcza codziennie **felieton,** a często **dwa felietony:** jeden z dziedziny nauki, literatury lub sztuki,—drugi powieściowy.

„Słowo" wydaje dla swoich prenumeratorów

bezpłatnie

„Historyę Literatury Polskiej"
STANISŁAWA TARNOWSKIEGO

Profesora literatury polskiej na Wszechnicy Jagielońskiej

i rozsyła je prenumeratorom swoim w broszurowanych zeszytach tygodniowych **bez żadnej dopłaty do ceny prenumeracyjnej.**

Nowi prenumeratorowie roczni, półroczni i kwartalni otrzymają wydane już w 1903 r. **trzy tomy (51 zeszytów) tego znakomitego dzieła bezpłatnie** zaraz przy wnoszeniu prenumeraty. Za przesyłkę pobiera się 60 kop.

Nadto **„Słowo"** daje **Obszerny Dział Ekonomiczny,** odźwierciadlający dokładnie życie ekonomiczne całego kraju i zagranicy i zawierający obfity dział informacyj handlowych,—i

Dodatek powieściowy, zawierający tłumaczenia najcelniejszych utworów literatury zagranicznej.

W odcinku w 1904 r. **„Słowo"** drukować będzie:

W. Gąsiorowskiego powieść histor. z 1813 r. **„Wojna narodów,"**

W. Gomulickiego powieść psychologiczną p. t. **„Miłość."**

Warunki prenumeraty wraz ze wszystkiemi dodatkami:

W WARSZAWIE:		NA PROWINCYI i w CESARSTWIE z przesyłką pocztową:		ZA GRANICĄ: z przesyłką pod opaską	
Rocznie	rb. 9 k. —	Rocznie	rb. 12 k. —	Rocznie	rb. 15 k. —
Kwartalnie	„ 2 „ 25	Kwartalnie	„ 3 „ —	Kwartalnie	„ 4 „ —
Miesięcznie	„ „ 75			Miesięcznie	„ 1 „ 35
za odnosz. do domu	5 k. m.				

W Niemczech i w Austro-Węgrzech najlepiej i najtaniej wypada **prenumerować na poczcie.**

ADRES Redakcyi i Aministracyi „SŁOWA": **Warecka, № 15 w Warszawie.**

UWAGA: Jako dziennik najwięcej ze wszystkich rozpowszechniony między obywatelstwem ziemskiem i wogóle bardzo czytany na prowincyi „SŁOWO" nadaje się wybornie do pomieszczenia ogłoszeń wszelkich firm handlowych i przemysłowych, poszukujących klienteli.

Nowi prenumeratorowie otrzymają pierwsze trzy tomy „Historyi Literatury Polskiej" zaraz przy opłacie prenumeraty, pozostałe zaś dwa w ciągu 1904 roku.

Nowi prenumeratorowie otrzymają pierwsze trzy tomy „Historyi Literatury Polskiej" zaraz przy opłacie prenumeraty, pozostałe zaś dwa w ciągu 1904 roku.

„TYGODNIK POLSKI”

PISMO ILUSTROWANE, POŚWIĘCONE SPRAWOM SPOŁECZNYM, LITERACKIM RZEMIEŚLNICZYM I PRZEMYSŁOWYM.

POD KIERUNKIEM:

Leonarda de Verdmon Jacques'a.

Od 1-go października r. 1903 wychodzi w dotychczasowym formacie (16 kolumn ścisłego druku, prócz okładki).

Z dodatkiem bezpłatnym,

składającym się

z 12 Książek treści naukowej i 26 Kart Albumowych.

Dodatki przeznaczone będą specyalnie dla **KOBIET**, które w książkach tych znajdą **wszelkie wskazówki i rady, dotyczące wychowania i wykształcenia dzieci.**

Treść numerów „Tygodnika Polskiego”, jak dotąd, tak i nadal składać się będzie z powieści, artykułów w sprawach społecznych, prac popularno-naukowych, felietonu tygodniowego, opisów zamków, kościołów i wogóle miejsc historycznych, opisów wynalazków, korespondencyj z kraju i zagranicy, przeglądu czasopism, opisu mód, cen wszelkich produktów i t. p., oraz licznych illustracyj w tekście.

CENA KWARTALNIE: w Warszawie rb. **1** kop. **25**, z przesyłką pocztową rb. **1** kop. **50**.

Numery okazowe wysyła się po otrzymaniu 7 kop. marki pocztowej.

Adres: „TYGODNIK POLSKI”, Warszawa, Nowy-Zjazd 4.

1904 r. **Rok VI-ty.**

NOWOŚCI MUZYCZNE

Czasopismo literacko-nutowe, poświęcone rozwojowi twórczości swojskiej muzy, daje rocznie 200-cie stronic nut na fortepian, wartości około 30 rubli.

„Nowości Muzyczne“ wychodzą raz na miesiąc zeszytami, zawierającemi: **utwory konkursowe, oryginalne salonowe, wyjątki z oper, operetek i do tańca**, zaś z zagranicznych: dostępne dla wszystkich nowości w tym że rodzaju. W dziale literackim: **artykuły pedagogiczne, sprawozdania ze sceny i estrady, korespondencye, obszerna kronika muzyczna** i t. d.

Czyniąc zadość licznym życzeniom, od Nowego Roku wprowadzamy pożyteczną nowość p. t.: **„Muzyka dla dzieci“**. Będzie to zbiorek najpiękniejszych **melodyj polskich** w łatwym układzie **na fortepian**, pedagogicznie opracowany—**w liczbie 50 sztuczek.**

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie: Rocznie rb. 5, półrocz. rb. 2 k. 50, kwart. rb. 1 k. 25. Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 6, półrocz. rb. 3, kwart. rb. 1 k. 50. **Zeszyt oddzielny kop. 60.**

Za granicą: W Galicyi rocznie 16 kor., w Niemczech 14 mar., w Ameryce 7 rb. Prenumerować można rocznie, półrocznie i kwartalnie.

Uwaga: Abonenci roczni otrzymają **bezpłatnie trzy poprzednie zeszyty, zawierające nut wartości 5 rb., albo ogłoszenie w naszem piśmie w cenie rb. 5.** Prenumeratę przyjmują także wszystkie księgarnie w Warszawie i na prowincyi.

Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, **Warecka 15.**

Agentura dla Galicyi: u St. Sokołowskiego we Lwowie, Pasaż Hausmana № 9.

Redaktor i Wydawca ***Leon Chojecki.***